

Kódz

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 43 (1142) ROK XXII

28 PAŹDZIERNIKA 1979 R.

CENA 3 ZŁ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

BAŁUTY

— Chyba w 1930 roku ktoś wyraził taką opinię o Bałutach. Napisał wówczas, że potrzeba dużo czasu, wiele pieniędzy, wysokiej techniki, aby móc przebudować Bałuty. Jednak najgłówniejszy urbanista dysponując tym wszystkim nie zrobi z Bałut dzielnicę o europejskim charakterze. — Józef Kowalski uśmiecha się i poprawia okulary. — I pomylił się. Pewnie, że jeszcze wszystkiego nie zrobiliśmy. Na Bałutach zawsze jest co robić. Potrzeby i plany są większe od naszych możliwości. Ale nie od razu Kraków zbudowano i nie od razu Bałuty zmieniają się. Choć trudno dziś powiedzieć, że w wielu miejscach dzielnica nasza nie ma już europejskiego charakteru.

W sześć lat po wyrażeniu opinii, o której wspominał sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR na Bałutach — Józef Kowalski, w „Głosie Porannym” ukazał się reportaż Rafała Lena.

„Ciasne, nierówne, poszarpane, powyłamywane, jak rzędy spróchniałych, podziurawionych zębów biegną, wznoszą się, niespodziewanie urywają się — ulice, uliczki, zautki głośniejszych Bałut” — pisał reporter.



Foto: R. Łucyszyn

Ciąg dalszy na str. 3

Pamiętniki Schellenberga

Pod tytułem „Tajemnice Trzeciej Rzeszy” zachodnoniemiecki WELT AM SONNTAG rozpoczął publikację fragmentów pamiętników Waltera Schellenberga, szefa wywiadu SS i dzięki temu jednego z najbardziej wpływowych ludzi Trzeciej Rzeszy.

Publikujemy fragmenty tych pamiętników.

Hitler nazwał go „człowiekiem o żelaznym sercu” — chodziło o Reinharda Heydricha, ówczesnego kierownika, a późniejszego szefa policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa. Biura Heydricha mieściły się przy Prinz Albrecht Strasse i wystarczyło, abym tylko przeszła przez mały, wypielegnowany ogród, znajdujący się za Urzędem Policji Państwowej, żeby znaleźć się u niego.

Heydrich siedział za swoim biurkiem — wielka, imponująca postać o długiej, wąskiej twarzy i niezwykle wysokim czole. Mniej ujmujący był długi, wąski nos i niespokojne skośne oczy.

Ciąg dalszy na str. 8

Współpraca Liv Ullmann z Ingmarem Bergmanem zaczęła się w... Polsce. Właśnie, będąc latem 1964 roku w Warszawie — wspomina aktorka — otrzymałam przekazaną mi przez ambasadę szwedzką depeszę, zawiadamiającą, że sławny już wówczas reżyser chce mnie zaangażować do swego nowego filmu. Od razu propozycję przyjmuję i tak nawiązała się nasza współpraca z Bergmanem, mająca już 15-letnią historię...

Wtedy przyjechała do naszego kraju w ramach polsko-norweskiej współpracy kulturalnej. Nim przyłączyła do niej przydomek medium Bergmana, grała w lokalnych teatrach, a następnie występowała na scenie w Oslo.

KONRAD TUROWSKI MEDIUM

gruntownie poznając aktorskie rzemiosło. Po czternastu dniach spędzonych wówczas w Warszawie i Krakowie, wróciła do domu, ale tylko po to, aby zabrać męża i znów przyjechać do Polski...

Teraz jakiś cudzoziemiec na warszawskim Okęcu jest rozczarowany, gdy w odpowiedzi na ciekawość wywołaną widokiem gromady fotoreporterów uwijających się wokół dziewczyny w granatowej bluzce i dżinsach słyży, że to Liv Ullmann. — Liv Ullmann? Ta słynna movie-star?! — dopytuje się z niedowierzaniem. Wreszcie skojarzył twarz aktorki i jej długie, jasne włosy z postaciami kobiet, które oglądał na ekranie w filmach szwedzkiego reżysera. Bo Liv Ullmann nie odpowiada rozpowszechnionym wyobrażeniom o stylu życia pierwszej wielkości gwiazd filmowych światowego kina. Nie ma w niej wyniosłości, ni żadnych grymasów. Wydaje się nieustannie skupiona i zamysłona. Chętnie się uśmiecha. Serdecznie.

Bohaterka Szeptów i krzyków, filmu po którym nowojorscy krytycy przyznali jej tytuł najlepszej aktorki 1973 roku, przyjechała do Polski w związku z realizacją Dzieci zagłady. Taki jest roboczy tytuł produkowanego filmu przez dwóch znanych biznesmenów amerykańskich — Jacka Eisnera i Romana Kenta. Reprezentacyjne biuro prowadzonej przez nich firmy Stafford International Corp, z przedstawicielstwami w kilkunastu krajach Europy i Azji, mieści się na 35 piętrze w Empire State Building, najwytworniejszym biurowcu świata. Wszędzie grube, puszyste dywany. Ściany zdobią oryginalne obrazy sławnych mistrzów. Gości i klientów wita uroczą sekretarka o równie czekoladowej uprzejmości, co kolorze skóry. Kiedy już nieco się zaprzyjaźniliśmy, powiedziała mi: — Ani słowa nie umiem po polsku, ale bardzo łatwo poznaję kiedy ludzie rozmawiają w tym języku. Bo jak ktoś mówi po polsku, to wygląda jakby się uśmiechał...

Ciąg dalszy na str. 10

GŁOS NASZEGO CZASU

rozmowa z dyrektorem WFO ZBIGNIEWEM GODLEWSKIM

— Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi należy do starszych instytucji kulturalnych powołanych do istnienia w nowej rzeczywistości społecznej. Z jaką świadomością wkroczyliście w bardzo już dojrzałe lata swojej działalności?

— Formalnie wytwórnia rzeczywiście liczy dopiero trzydzieści lat, gdyż powołano ją dokładnie 29 grudnia 1949 roku i była to data przełomowa w historii polskiego filmu oświatowego. Ale mamy prawo uważać się za spadkobierców powstałego w pierwszych dniach Polski Ludowej Instytutu Filmowego, którego inicjatorem był, niezjący już, niestety, reżyser Karol Marczak. Należał

on do pionierów filmu biologicznego i jako jeden z pierwszych w świecie, wraz z żoną Martą, stosował już w okresie międzywojennym nowe techniki zdjęciowe, dzięki którym przybliżył setkom tysięcy widzów świat przyrody, często niedostępny gołym okiem. Warto przypomnieć jego film „Drapieżnicy” nakręcony równo 40 lat temu i późniejsze realizacje, już sygnowane znakiem naszej wytwórni takie choćby jak „Pantofelek”, „Praca serca zarodka troci”, „Modliszka” czy „Instynkt macierzyński u ryb”. Twórczość ta należy już dziś do światowej klasyki kina oświatowego, toteż jesteśmy dumni z naszych tradycji. Dość przecież

powiedzieć, że inny wybitny twórca, także niezjący, Jarosław Brzozowski w roku 1946 odniósł wielki sukces na festiwalu w Cannes zdobywając Grand Prix za film „Wieliczka” zrealizowany pod egidą Instytutu Filmowego, który jedna z swych najważniejszych filii posiadała właśnie w Łodzi, przy ulicy Kilińskiego 210, a więc tu, gdzie siedzimy podczas naszej rozmowy. Była to pierwsza w dziejach nagroda dla filmu polskiego w Cannes.

Oto nasz rodowód, nasza tradycja rozwijana przez 30 lat istnienia wytwórni. Stoją za nią

Ciąg dalszy na str. 11

Z GŁOWĄ DO GŁOWICY

RYSZARD BINKOWSKI

Sprawa jest starsza niż dzieje ludzkości, ale początkowo dotyczyła jedynie organizmów żywych: odnawiania sił oraz odzyskania utraconych lub uszkodzonych narządów, tkanek i komórek. Z chwilą, gdy człowiek w swoisty sposób „ożywił” przedmioty martwe i wziął do ręki swoje pierwsze prymitywne narzędzia, naostrzenie topora lub noża stało się zaczątkiem współczesnej regeneracji.

Rozwój techniki postawił ludzi przed problemem części zamiennych, nie można bowiem było dopuszczać do sytuacji krańcowych, tzn. do tego, żeby w momencie zniszczenia jednej części wyrzucać cały skomplikowany i drogi silnik.

W Polsce znaczenie tej sprawy najwcześniej dostrzeżono w rolnictwie, chociaż można się było spodziewać, że przede wszystkim zajmie się tym motoryzacja. Kiedy mieliśmy mało sprzętu rolniczego, istniała pełna wymiennność zużytych części i zespołów na części zakupowane w „Agromie”: jeśli w maszynie znalazł się jakiś pogięty „wichałster”, to wyrzucało się go na złom. Często na złom szły całe urządzenia.

Wielkie akcje w rolnictwie, np. żniwa wykazały, że tą drogą daleko nie zajdziemy. z

Ciąg dalszy na str. 4

AKTUALNOŚCI

W dniach od 5 do 30 listopada br. w Warszawie i wielu innych miastach Polski, w tym również w Łodzi, odbywać się będą tradycyjne DNI FILMU RADZIECKIEGO. Tegoroczne „Dni” stanowią główny nurt krajowych obchodów 62 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Powodem do takiego, specjalnego potraktowania tej corocznej imprezy stała się przypadająca w br 60 rocznica powstania kinematografii Kraju Rad. Przypomnijmy, że dekret stwarzający podstawy rozwoju radzieckiej kina podpisany został 27 sierpnia 1919 roku, a jego inicjatorem i sygnatariuszem był W. I. Lenin.

W klimacie troski i modelowej radzieckiej o racjonalną kinematografię bezwzględnie wcielano w życie leninowskie dyrektywy: nastąpiła rozbudowa bazy filmowej i sieci kin, utworzono szkołę filmową w Moskwie, inspirowano młodych twór-

mięscem istnego „festiwali filmów radzieckich”; — obok kina amerykańskiego i włoskiego kino Kraju Rad awansowało w oczach widzów do roli faworyta. Podjęto więc starania o pełniejszą prezentację jego osiągnięć: pojawiła się na ekranach klasyczna, m. in. filmy nawiązujące do okresu rewolucji i wojny domowej.

Statystyki pokazują, że nawet w mniej szczęśliwym dla radzieckiej kinematografii okresie — w pierwszym połowie lat 50-tych — była ona dla polskiego widza czymś atrakcyjnym. Radzieckie filmy miały milionową widownię. Dla przykładu — „Stranice w górach” Judina obejrzało u nas ponad 5 mln widzów. Tendencja ta utrzymała się również i w okresie następnym, kiedy to — w drugiej połowie lat 50-tych i w latach 60-tych — na ekrany polskich kin dotarły filmy prezentujące nowy styl myślenia, nurt moralnego niepokoju i odwagi w podejmowaniu najbardziej drażliwych

problemy i filmów podejmujących problematykę walk rewolucyjnych, wojny domowej oraz walk z hitlerowskim najeźdźcą — filmy sensacyjne, przygodowe i obyczajowe. W Międzynarodowym Roku Dziecka nie zabrakło również filmów adresowanych do najmłodszej widowni i młodzieży, których rocznie produkuje się dzisiaj w ZSRR ok. 30 (tylko fabulał). Co zatem zobaczymy w listopadzie?

Zacznijmy od filmu „Wyznanie miłości” w reż. Ilij Awerbacha z polską aktorką Ewą Szykulska w roli głównej. Podobnym w nastroju filmem będzie „Pięć wieców” Nikity Michalkowa ze świetną parą aktorów: Ludmiłą Gurczenko i Stanisławem Lubyszynem (jest to historia złączonych uczuciem ludzi, którzy spotkali się po latach rozłąki spowodowanej wojną). Interesującą zapowiada się kolejna ekranizacja powieści Lwa Tolstoj — „Ojciec Sergiusz” w reż. Igora Talankina z S. Bondarczukiem w tytułowej roli. Adaptacje wielkiej literatury rosyjskiej reprezentować będzie w trakcie „Dni” również „Dramat na polowaniu” w reż. Emila Lotianu, osnuty na motywach opowiadania Czechowa. Obok „Ojca Sergiusza” kino poetyckie odnajdziemy także w baletach o wsi łotewskiej widzianej oczami chłopca, a — z tytułowanej „Skrab” (reżyser: A. Freimanis). Problematyczne pracy i produkcji podejmie „Pięć pora roku” w reż. Olegu Nikitina (konfrontacja postaw dwóch młodych inżynierów reprezentujących inny stosunek do pracy), zaś źródłem sportowych sukcesów poświęcony został obraz „Jeśli odejdziesz” M. Litauwa i W. Szulko. Nowa próba filmu przygodowego osnutego wokół wydarzeń wojny domowej i walk z interwencją będzie „Stępowy rumak” autorstwa Ch. Katabajewa. W tym samym czasie historycznym toczy się akcja filmu W. Lubomudrowa „Szukam wiatru”, umieszczona w scenarii uralskich stepów. Wreszcie, wszystkich miłośników historii i batalistyk zainteresuje z pewnością III i IV cz. „Błokaży” — wielkiej epeki wojennej, poświęconej obronie Stalingradu (reż. Michaił Jerszow).

Nie mniej atrakcyjnie niż zasygnalizowały tu cykl premier filmowych, przedstawia się program imprez towarzyszących, organizowanych przez Okręgowy Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów, różne instytucje i organizacje. Do Polski przybędzie 40-osobowa delegacja złożona z przedstawicieli władz radzieckiej kinematografii i najwybitniejszych twórców kina Kraju Rad: reżyserów i aktorów. W całej historii polsko-radzieckich kontaktów filmowych nie gosiłmy jeszcze tak doborowej reprezentacji kina ZSRR. Nasi goście przebywać będą w Warszawie i Katowicach, a także w innych miastach. Zaplanowano 5 retrospektywnych przeglądów twórczości wybitnych radzieckich reżyserów: w Toruniu — S. Gierasimowa, w Lublinie — G. Danielija, w Krakowie — A. Michalkowa-Konczalowskiego, w Poznaniu — A. Tarkowskiego, a w Gdańsku — J. Chejlica. Natomiast od 7 do 11 listopada radzieckie filmy, podzielone na pięć grup, odwiedzą Wrocław i Wałbrzych, Rzeszów i Krośno, Szczecin i Gorzów, Białystok i Suwałki. Piąta grupa weźmie udział w spotkaniach, projekcjach i dyskusjach na terenie Łodzi i województwa piotrkowskiego. Poza tradycyjnymi spotkaniami w kinach, radzieckie goście odwiedzą zakłady pracy i środowiska akademickie.

Na tym jednak nie kończy się lista imprez tegorocznych Dni Filmu Radzieckiego. I tak np. szeroka popularyzacja dokonała filmu radzieckiego zamierza się objąć młodzież. Planuje się pokazy i konkursy dla szkół, przy czym reprezentowane mają być wszystkie główne nurty i tendencje radzieckiego kina, ułożone w cykle tematyczne. Wiele spotkań dyskusyjnych w ramach tematów „Obraz młodego pokolenia w filmie radzieckim” oraz „Współczesność i bohater w filmie radzieckim” zorganizuje FSZMP. Z kolei Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych przedstawi szereg zestawów filmów montażowych poświęconych radzieckim reżyserom, a Filmoteka Polska zorganizuje w oparciu o swoje „Iluzjony” retrospektywne pokazy „13 najwybitniejszych pozycji kina radzieckiego — do r. 1958”. Natomiast we Wrocławiu tamtejszy OPRF przygotowuje wraz z redakcją „Filmu” seminarium naukowe pn. „60 lat kinematografii radzieckiej”.

W programie tegorocznych „Dni” znajdują się także liczne konkursy i plebiscyty. Najważniejszym z nich jest konkurs na plakat do filmu radzieckiego, odbywający się pod patronatem TPRP. Jego płon zgromadzony zostanie na specjalnej wystawie, której wernisż połączone będzie z rozdaniem nagród laureatom.

(SOL.)

PRZED DNIAMI FILMU RADZIECKIEGO

problemów współczesności. W tym czasie na projekcjach filmów radzieckich widowni zapelniali się nie tylko ludźmi spragnionymi odpoczynku i rozrywki. „Czerwone pierzchy” G. Czuchraja obejrzało 2,5 mln widzów, „Leża żurawie” M. Kalatazowa — 3,5 mln, zaś wszelkie rekordy pobila filmowa wersja „Ciegiego Donu” w reżyserii S. Gierasimowa, którą zobaczyło 9 mln kinomanów.

Dodatkowym momentem zwiększającym zainteresowanie filmem radzieckim było powstanie sieci kin klubowych i studyjnych, które wykształciły nowy typ widowni, gustującej w klasycie i współczesnych poszukiwaniach, często graniczących z eksperymentem.

Badacze recepty radzieckiego filmu w Polsce podkreślają, iż istotnym momentem dla jego upowszechnienia było pojawienie się telewizji, zwłaszcza gdy chodzi o filmy nie przeznaczone „dla milionów”, przemawiające bardziej kameralnym głosem. Obok nich trafiły w końcu na ekran również i filmy o większym rozmachu. Cieszyły się one nie mniejszym powodzeniem. Wystarczy przypomnieć tylko przykład „Wojny i pokoju” Bondarczuka, czy licznych seriali telewizyjnych, które nadawano już w latach siedemdziesiątych. Szczególną rolę odegrała TV w popularyzowaniu osiągnięć radzieckiego kina niemego, dokumentalnego i eksperymentalnego. Ostatnio widownie telewizyjnej mogli być świadkami projekcji wielu krótkich i średniometrażowych filmów, które — dziś wydobyte z archiwów — były dotąd szerzej nie znane.

Działalność upowszechnieniowa telewizji w dziedzinie filmu radzieckiego nie przyczyniła się jednak do spadku zainteresowania największą imprezą kinową w tej dziedzinie — Dniami Filmu Radzieckiego. Ich początki sięgają roku 1947, w którym po raz pierwszy — wychodząc naprzeciw rosnącemu zainteresowaniu — zorganizowano Festiwal Filmów Radzieckich. W sytuacji wielkich braków i luk w wiedzy o radzieckim kinie okresu porowolucyjnego i międzywojnia, doroczne Festiwale Filmu Radzieckiego — przekształcone potem w Dni Filmu Radzieckiego — poświęcone były przede wszystkim prezentacji klasyki.

Choć pojawiające się co parę lat nowe, odmłodzonej widowni skłania również do przypomnienia w trakcie Dni Filmu Radzieckiego jego dorobkowej imprezy, głównym zadaniem listopadowej imprezy jest dziś zapoznanie polskiej widowni z najnowszymi osiągnięciami kinematografii ZSRR.

Tak też będzie i w tym roku. Dni Filmu Radzieckiego zainauguruje 5 listopada — w największym w Polsce kinie „Rondo” — w katowickim „Spodku” — projekcja epeki filmowej „Syberia” w reżyserii Andrzeja Michalkowa-Konczalowskiego (spodzielany z reżyserią I. Iredyńskiego), jest w niej udział ok. 5 tys. widzów.

W tym samym czasie na ekrany kin w całej Polsce — we wszystkich miastach wojewódzkich, wejdzie 10 nowych radzieckich filmów premierowych. Ich przekrój jest bardzo szeroki: obok dramatów o tematyce

trudnych warunkach znajdują się prace. Realizacja poszczególnych pozycji repertuaru musi być jednak — siła rzeczy — uzależniona od mającego ewentualnie nastąpić remontu. Podkreślał ten fakt podczas niedawnej konferencji prasowej dyr. i kier. artyst. teatru — Jerzy Michalak, który przedstawił nowe zamierzenia „Pinokia”. Będą one kontynuacją dotychczasowych poszukiwań ideowych i formalnych, w których teatr chce nadal mówić współczesnym językiem o współczesnych sprawach. Propozycje te adresowane będą — jak dotąd — do widzów w różnym wieku. Dla najmłodszych przewidziano baśń J. i. Kraszewskiego „Król rumanek”, którą wyreżyseruje Janusz Ryl-Krysztanowski. Pozycja nie znana dotąd na lalkowej scenie będzie również adaptacja „Bałajki o smoku” I. Iredyńskiego. Do nieco starszych dzieci adresowane będą z kolei „Przygody Sindbada Żeglarska” w reż. Karela Makhona z CSRS (o tym polsko-czeskim przedstawieniu pisałoby szerzej w nr 33 „Odgłosów”). Natomiast na pierwszą w „Pinoku” próbę zainteresowania teatrem lalek młodzieży ze szkół ponadpodstawowych przeznaczono

adaptację nowego, przygotowanego specjalnie dla „Pinokia” spektaklu „Odwaga” Honera, w reżyserii i scenografii J. Michalka.

Kontynuacja ustaleń powziętych w czasie wrześniowej wizyty delegacji „Teatru Czołwaka, Lalki i Przedmiotu” z Tiumeni w ZSRR (Syberia), będzie wymiana sztuk i realizatorów Artystyczną współpracę zainauguruje inscenizacja utworu W. Nowackiego i F. Fridmana „Siomanią skowronek” w reż. Michała Chudisa. Z kolei Leszek Staron wyreżyseruje w Tiumeni własną adaptację „Cyberlady” Lemna ze scenografią J. Michalka.

Jednocześnie w bieżącym sezonie PTL „Pinokio” zamierza kontynuować imprezy z cyklu „Plac Zabawy Teatralnej” oraz przedsięwzięcia parateatralne. Natomiast na maj 1980 roku przewiduje się obchody jubileuszu 35-lecia teatru. Z tej okazji planuje się prezentację dorobku w formie przeglądu sztuk, wystaw, imprez towarzyszących, a także publikację jubileuszowego wydawnictwa i zorganizowanie seminarium nt. aktualnych problemów teatru lalek.

(T.S.)

PAMIĘCI LEONA SCHILLERA

Dobrze rozwija się akcja społeczna, zainicjowana przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, mająca na celu upamiętnienie postaci Leona Schillera, wielkiego artysty i pedagoga, zasłużonego dla kultury polskiej. Energia twórcza Schillera pozostawia znaczący ślad także w historii teatru łódzkiego — w okresie międzywojennym i po wojnie, kiedy to stał na czele ówczesnego Teatru Wojska Polskiego.

W br. w Międzynarodowym Dniu Teatru, wmurowano kamień węgielny pod popiersie Leona Schillera w Alei Jego imienia. Odsłonięcie pomnika, autorstwa artysty rzeźbiarza Antoniego Białasa, planuje się w przyszłym roku, także w Międzynarodowym Dniu Teatru. Ruszyła jednocześnie zbiórka darów pieniężnych, zainicjowana przez polonistkę, p. Krystynę Kowalczyk, w XXX Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi. Innym sympatycznym gestem młodzieży była spontaniczna zbiórka pieniędzy, dokonana przez uczniów X Liceum Ogólnokształcącego z Wrocławia, goszczących na jednym z przedstawień w Teatrze Nowym. Wpłynęły dary pieniężne od wielu osób prywatnych i instytucji. M. in. 88 tys. złotych wpłaciły Zakłady Artystyczne „Art” w Łodzi, 50 tys. zł — ZG Zw. Zaw. Prac. Przem. Włók., Odzież. i Skórzanej, 30 tys. zł — zakłady przemysłowe współpracujące z „Textilimpexem”.

Specjalne inicjatywy rozwija łódzkie środowisko teatralne. Poza wpiatami dokonanymi przez łódzki Oddział SPATIF — ZASP i kół SPATIF przy teatrach, dodatkowe fundusze wpływają z przedstawień organizowanych na ten cel w poszczególnych teatrach. I tak wpływy z przedstawień przekazał: PTL „Pinokio” („Czarny kabaret” w dniu 22 bm.), Teatr Powszechny („Słowo muszkieterskie” — 4. XI.), Teatr Zielonej Góry („Tylko martwy kolega jest dobrym kolegą” — 19. I.), Teatr Nowy, Teatr Muzyczny, Teatr Wielki i PTL „Arlekin” (specjalne przedstawienia w późniejszych terminach).

Osoby szczególnie zasłużone w akcji budowy popiersia uhonorowane zostaną pamiątkowymi medalami. Podajemy numer konta, na które można dokonywać wpłat: 47513-6581-132 w PKO I Oddz. w Łodzi, z dopiskiem — Społeczny Komitet Budowy Popiersia Leona Schillera.

KRONIKA KULTURALNA

98 osób reprezentujących różne dyscypliny twórczości otrzymało w tym roku indywidualne i zespołowe nagrody prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną. Wśród laureatów znaleźli się łodzianie. Nagrody i stopnia przyznano w zakresie literatury — LEONOWI GOMOLICKIEMU, w zakresie teatru — ROMANOWI KŁOSOWSKIEMU, w zakresie muzyki — ZYGMUNTOWI LATOSZEWSKIEMU i TERESIE ZYLIS-GARZE.

Rozdano również tegoroczne nagrody prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży, przyznawane z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka. W dziedzinie teatru jedną z nagród otrzymała MARTA ŻANIC — współzałożyciel i wieloletni dyrektor łódzkiego „Pinokia”, reżyser teatru lalek, natomiast w dziedzinie plastyki — WISŁAW KAROLAK, projektant, autor oryginalnych zabawek.

Zgodnie z wieloletnią tradycją, minister obrony narodowej przyznał z okazji Dnia Wojska Polskiego nagrody i wyróżnienia twórcom zajmującym się problematyką wojska i obronnością. Wśród wyróżnionych znalazł się WACŁAW BILINSKI — laureat nagrody II stopnia za nowelę „Koniec wakacji”. Natomiast nagrodą II stopnia w dziedzinie teatru i filmu wyróżniono za film TV „Operacja Himmler” łódzkiego reżysera ZBIGNIEWA CHMIELEWSKIEGO (wspólnie z prof. W. T. Kowalskim).

Jury Nagrody Im. Andrzeja Murka, działające pod przewodnictwem rektora PWSFTiM, S. Kuszewskiego, przyznało ją w roku akademickim 1979/80 WOJCIECHOWI MARCZEWSKIEMU, reżyserowi-debiutantowi (za film „Zmory”).

30-lecie istnienia obchodziła Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi. Z okazji jubileuszu Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski przyznano B. Baczyńskiemu, H. Pawlakowi, J. Popiel-Popiołkowi, J. Arkuszowi, 9 osobom przyznano Złote, a 8 — Srebrne Krzyże Zasługi.

Dalsze nagrody i medale... JANUSZ WIKTOROWSKI otrzymał brązowy medal w dziedzinie plakatu kulturalno-reklamowego na VIII Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach. Tytuł nagrodzonej pracy: „Obuwie i futra Skórimpeks”. Wielkim sukcesem łodzianina zakończył się też XI Międzynarodowe Biennale w Tokio, gdzie wybitny plastyk ANTONI STARCZEWSKI zdobył Grand Prix. Otrzymał on także ostatnio jedną z głównych nagród na VI Międzynarodowym Biennale Grafiki w Bradford.

W Bratysławie — na międzynarodowym przeglądzie twórczości teledyplomatycznej dla dzieci — główną nagrodę w kategorii telewizyjnych filmów animowanych zdobył „Kod” SZYMONA SZYMCHYZAKA z łódzkiego „SE-MA-FORA”.

Specjalistyczny zbiór badawczy pt. „Znaczkę PRL wydane w 1948 roku” CZESŁAWA MALINGIEWICZA otrzymał główną nagrodę konkursową — Grand Prix — na XIII Ogólnopolskiej Wystawie Filatelijnej „Katowice-78”. Laureat miłośnika w Łodzi. Jego kolekcję wylo-

niłono spośród 450. Ogółem wystawiono w Katowicach ponad milion znaczków, innych walorów filatelistycznych.

W Opocznie otwarto nowy gmach Miejskiego Domu Kultury, zbudowany kosztem 37 mln złotych przy dużym udziale i rac społecznych ludności. Nowa placówka, której nadano imię Tadeusza Sygietkińskiego, posiada dużą salę wokalną, 500 miejsc, salę prób kawiarnię, bibliotekę i jest bardzo dobrze wyposażona w sprzęt muzyczny i audiowizualny. Uroczystość otwarcia uświetnił występ „Mazowsza”.

Prace łódzkich artystów na wystawach za granicą. 12 października otwarto ekspozycje malarstwa BEONONO LIBERSKIEGO w Berlinie. Zorganizowano na niej 30 obrazów. Natomiast na Festiwalu Dziecięcym w Miami na Florydzie prezentowane były w październiku najlepsze plakaty DANUTY ZAMORSKIEJ — MUSZYŃSKIEJ. Organizator tej ekspozycji — American Institute of Polish Culture z siedzibą w Miami — zaprezentował również na swym stoisku dziesięć obrazków z pracowni plastycznej Pałacu Młodzieży im. J. Tuwima w Łodzi — wykonanych na konkurs pn. „Piękna nasza Polska cała”. Warto dodać, że wspomniany Instytut nawiązał również współpracę z łódzkim „SE-MA-FORUM”.

Młodzi łódzcy muzycy, uczniowie POSM II stopnia im. H. Wieniawskiego w klasie prof. Iwony Wojciechowskiej zdobyli cenne laury na I Międzynarodowym Konkursie Młodych Skrzypków w Lublinie. W grupie wieku do lat 16 IZABELA HAMERA otrzymała nagrodę Komitetu do Spraw Radia i TV, a w grupie wieku od 16 do 19 lat TOMASZ GUZ jako najlepszy skrzypek polski zdobył VI lokatę i nagrodę Rady Głównej ZSMP.

W dniach od 27 do 30 września br. odbywały się w DDK Łódź-Bałuty III Amatorskie Konfrontacje Małych Form Teatralnych. Wzięło w nich udział 6 spektakli, w tym 4 zespołowe i 2 monodramy, z Warszawy, Częstochowy, Zielonej Góry, Sztumu, Łodzi i Gniezna. Jury przyznało nagrodę główną reżyserowi Marjanowi Glinkowskiemu i zespołowi teatru „PROM” przy Klubie Oddziału ZNP w Łodzi za dotychczasową inscenizację jednoaktówkę Sławomira Mroźka „Serenada” i „Lis aspirant”. Nagrodę za reżyserię otrzymała Ludwina Nowicka — za inscenizację „Współ” wg Tuwima w Teatrze Forum” przy WDK w Zielonej Górze. Nagrody aktorskie zdobyli: Elżbieta Hibner — za rolę Lisa w spektaklu teatru „Prom” oraz Marek Szymanski i Zbigniew Ochocki z teatru „Forum”. Ponadto wyróżniono Krzysztofa Kobusa i Wiesława Boitryka za przedstawienie monodramu. Poza konkursem wystąpił Teatr 44, działający przy DDK Łódź-Bałuty.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi zamierza wydać zbiór pieśni o łódzkiej Kompozytorce i niemieckich związków tematycznych z ziemi łódzkiej polecamy te okazje. Adres wydawcy: TPL, ul. Ogrodowa 15, Tel. 773-92.

NOWY SEZON W „PINOKIU”

scenie. Dobrze to świadczy o ambicjach teatru. Zwiastuje że nie nie wskazywać na to by w najbliższym czasie poprawiła się jego sytuacja — bardzo duża trudna — sytuacja lokalowa. Mimo długiej historii, budynek teatru przy ul. Kopernika 16 nie doczekał się jeszcze generalnego remontu. W szczególności

W obecnej sytuacji każda nowa realizacja jest wszakże rzeczą nadzwyczajną trudną, wymagającą nie lada wysiłku ze strony teatru, by nie zejść poniżej wysokiego poziomu artystycznego. Jaki przesądził on ostatecznie i nie stracił nie z dotychczasowego rozmachu — mimo tak trudnych warunków

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktorów naczelnych), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz współpracownicy: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, MALGORZATA GOLICKA, JACER INDELAJ, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYNSKI (fotograf), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAJER, KOWIECKI JERZY RYMIŃSKI, IOMASZ SOLTENHOFF, GRZYNA SZYŃCOWSKA (redaktor techniczny) Sioła współpracownicy: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, IADEJ SZYBANSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORLowski, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.



Ciąg dalszy ze str. 1

Bałuty miały wówczas złą sławę. Była to dzielnica nędzy, gniazdo przestępstw. Rafał Len nadał swemu reportażowi tytuł: „Ludzie bez powietrza”.

„Życie ludzi bez powietrza zaczyna się za progiem mieszkania. Zmienione w straszliwy i przenikliwy fetor brudnej pościeli, moczu, kału, potu i wystygłych kartofli, przypominających uparcie odór zaniedbanych kurników czy gołębników — fatalnym ciężarem, tuż za progiem kładzie się na piersi — i już nie puszcza.”

O Bałutach nie można pisać nie wracając do przeszłości. Bałucka legenda uparcie żyje gdzieś w zakamarkach ludzkiej świadomości. Zdarzy się i dziś, że jakiś ciemny typ, gdy mu w rodzinnym mieszkaniu sprawiedliwość zaczyna deptać po piętach, pomny tej złej sławy Bałut, rusza do Łodzi, aby tu w „bałuckim zaciszu” znaleźć schronienie. Spotyka go rozczarowanie. To już nie te Bałuty, choć i tu jak wszędzie są „w niedzielę urodzeni”, złodziejzaski, meliny i życie toczy się niektórym po samym marginesie. Rze-

to ten blok, w którym mieści się kawiarnia „Staromiejska”. Później wybudowano nowe bloki przy Pieprzowej (dziś ulica Berlińskiego), Berka Joselewicza, Wojska Polskiego, Drukarzkiej... Dziś 77 proc. domów bałuckich to domy wzniesione po wojnie. Powstały nowe dzielnice mieszkaniowe: Teofilów, Zubardz Zgierska — Stefana, Inflancka, Doly. I buduje się dalsze — Radogoszcz Zachód.

I tak od przeszłości doszliśmy do dnia dzisiejszego. Ale nim zajmiemy się sprawami współczesnymi,

zróbmy próbę opisaną

dzielnicy. Mówimy często Bałuty, mając na myśli ich starą część. Więc może najpierw kilka uwag o geografii Bałut. Graniczą one na południu z Polesiem i Śródmieściem, na wschodzie z Widzewem. Pod względem obszaru są największą dzielnicą Łodzi: mają 93,7 km kwadratowych i 243,8 tysiąca mieszkańców. Drugi pod względem obszaru Widzew ma 53,4 km kwadratowych, a druga pod względem zaludnienia



cy Aleksandrowskiej. Gdyby więc był wiadukt na ulicy Teresy, to siłą rzeczy odciążałoby to wiadukt na Aleksandrowskiej. Takie rozwiązanie wydaje się nam bardziej racjonalne.

— Ale te dwie propozycje trzeba byłoby realizować łącznie. Zamiast czego?

— Zamiast dobudowy drugiej połówki wiaduktu przy ulicy Aleksandrowskiej, czyli praktycznie zamiast budowy wiaduktu w tym miejscu proponujemy budowę wiaduktu przy ulicy Teresy.

Wiadamy do samochodu, aby naocznie przekonać się, jak wygląda ruch samochodowy na ulicach Teresy, Brukowej i Aleksandrowskiej Brukowa jest zatłoczona. Nie ma wątpliwości, że przydałby się wiadukt na ulicy Teresy. Skoro już jeździmy samochodem po dzielnicy, proponuję, abyśmy wrócili do

centrum Bałut.

Proszę o to nie bez powodu. Pamiętam, że przed kilkoma laty ogłoszony był konkurs na architektoniczne rozwiązanie Rynku Bałuckiego i

— Tak.

Z Bałuckiego Rynku jedziemy ulicą Franciszkańską do Inflanckiej i dalej do Strykowskiej. Po drodze mogą oglądać tak typowe dla Łodzi zestawienie nowych bloków ze starymi, drewnianymi, małymi domkami. Przebudowa dzielnicy odsłania całą jej byłą nędzę. Okazuje się, że jest tu jeszcze 15 tysięcy drewnianych komórek, które trzeba powoli likwidować. Ale nim się je zburzy, trzeba dać ludziom inną możliwość przechowywania zapasów. W nowych blokach są piwnice. Nie wszyscy i nie od razu dostaną mieszkania w nowych blokach.

Ulicą Strykowską dojeżdżamy do Łupkowej. Powstaje tu zajazd i pole „Intercampingu”. Wznosi się też górę zjazdowa dla narciarzy i saneczkarzy. Obok będzie strzelnica. W rezultacie powstaną ośrodki sportów zimowych. Pobliska szkoła będzie przygotowywała zawodników.

— Ten rejon — powiada nie bez pewnej dumy Józef Kowalski — przygotowujemy pod czynną społeczną już na lata osiemdziesiąte, gdzieś do 1982 roku.

BAŁUTY: MIĘDZY TRADYCJĄ A NOWOCZESNOŚCIĄ



JÓZEF KOWALSKI: „Na Bałutach zawsze jest co robić”.

czywistość Bałut nie odpowiada już legendzie. — Przed kilku laty — opowiedział mi mecenas Szymon Z. — działali tu jeszcze czterej bracia R. Byli to młodzi inteligentni chłopcy, którzy działali w starym stylu. Mieli swoje złodziejskie zasady, swój honor. Rabowali sklepy i robili to z dobrze obmyśloną planem. Robili „skok” zawsze przed kilkoma wolnymi dniami. Tak, aby czas działał na ich korzyść, aby zatarły się ślady. Wpadli w kołcho, ale tego, co zrabowali nie udało się odzyskać. Starsi siedzą jeszcze w więzieniu, a młodzi zmienili już tryb życia, zerwali z przestępstwami, ożenili się i są porządnymi obywatelami.

Bałuty bardzo długo były wsią. Była to przedziwna wieś. W 1915 roku, kiedy je przyłączano do Łodzi, liczyły Bałuty 100 tysięcy mieszkańców. Ludzie przenosząc się do Łodzi w poszukiwaniu pracy osiedlali się w okolicznych wsiach, bo tu życie i mieszkanie było tańsze. Tylko, jakie to były mieszkania.

„Na zewnątrz jest to włączona w zielone, ohydne płocisko i oznaczona małą, zamazaną sztyką — pisał wspomniany już Rafał Len — norka, w której umieszczenie szewskiego warsztatu niewiele już właściwie pozostawia wolnej objętości. Ale w nocce tej, na przestrzeni półtora na trzy metry przylepiło się, kwitnie w najlepsze rodzinne gniazdko, o którego obfitym przychówku, przy powitaniu oznajmia głośny chór piskląt. Iż zresztą spraw dzieje się jeszcze na tej ciasnej przestrzeni. Obok bali stano wąskie, wygięte łóżko, w którego brudnym, skłębionym wnętrzu, wierąc się, widać jak robią dwa małeństwa... To się dzieje na łóżku, obok którego stoi kołyska, gdzie na noc odkłada się tę dwójkę, ustępującą miejsca na łóżku rodzicom i dwójce starszym. W kącie na niskim stołku, przy połyskującym szewskim stołku pracuje gospodarz.”

Tak było. Były Bałuty synonimem nędzy, brzydoty i zaniedbania. Nic więc dziwnego, że po wojnie, kiedy i dla Łodzi przyszły lepsze czasy, tu właśnie zaczęto budować pierwsze bloki. Synonim nowego, przemian, innego życia. Pierwszy nowy blok w Łodzi stanął przy ulicy Podrzecznej. Utrzymany w stylu „MDM”. Jest

Górna ma 209,6 tysiąca mieszkańców. Natomiast pod względem gęstości zaludnienia Bałuty plasują się na 4 miejscu. Mają 3.823 mieszkańców na jeden km kwadratowy, podczas gdy Śródmieście ma 16.989 mieszkańców. Drugie miejsce wśród łódzkich dzielnic zajmują też Bałuty, jeśli chodzi o liczbę zatrudnionych w gospodarce społecznej. Tu też przoduje Śródmieście. Mają Bałuty wielki kompleks leśny — Arturówek i Las Łagiewnicki. Mają ouszą — najwcześniej wybudowaną — dzielnicę przemysłowo-magazynową — Zabieniec — Teofilów i będą miały drugą taką — Radogoszcz.

— Teofilów jest bardzo ciekawym rozwiązaniem urbanistycznym — mówi Józef Kowalski. — Ulica Aleksandrowska dzieli część mieszkaniową od części przemysłowo-magazynowej. A zaczęło się to wszystko od wybudowania „Elty” i bloków awaryjnych dla tej fabryki. Teraz to już całe miasto ze swoim przemysłem, centrum handlowym, szlakami komunikacyjnymi. I będzie się ono rozrastało. Projekt Teofilowa D jest gotowy. Powstanie ta część Teofilowa w kierunku na Aleksandrów. Przygotowuje się projekt Teofilowa-Złotna, który będzie się budował już na granicy z Polesiem i w przyszłości chyba przejdzie na Polesie. Wynika to z tego, że gdzieś w tamtym rejonie budować się będzie EC-V.

Pamiętam czasy, kiedy zarzucono Łodzi, że wybudowanie „Elty” na dziewiczym terenie było nieporozumieniem. Jakże to czasy odległe od dnia dzisiejszego Bałut. Dziś na Teofilów wozą się zagraniczne wycieczki, aby pokazać im nowoczesny łódzki przemysł, choć nie brak w dzielnicy fabryk starych, obrosłych legendą i tradycją, jak choćby zakłady noszące imię Juliana Marchlewskiego czy Szymona Harnama. Ma przecież ta dzielnica bogatą tradycję rewolucyjnej walki. W Komitecie Dzielnicowym PZPR na Bałutach pokazano mi izbę pamięci, zmyślnie urządzonej w piwnicy. Jest tam wiele pamiątek dawnej walki, a i sporo dokumentów obrazujących dzień dzisiejszy Bałut.

Pamiętam też budowę pierwszego łódzkiego wiaduktu, który nie odpowiada już dzisiejszym potrzebom. Kiedy go budowano nie było jeszcze Teofilowa. Był to wiadukt na tamte potrzeby luksusowy. Teraz jest ciasny. Trzeba go rozbudować, ale okazuje się, że

wiadukt na ulicy Teresy

jest potrzebny bardziej.

— Mamy dwie wersje rozwiązania — mówi Józef Kowalski. — Zrobić na przedłużeniu ulicy Łanowej przejście podziemne pod torami kolejowymi. Byłoby to przejście dla pieszych. Zrobić też kładkę dla pieszych wzdłuż wiaduktu, a przez co można byłoby chodniki po obu stronach wiaduktu zamienić na jezdnię. Poszerzyłaby się ona przez to o kilka metrów i wiadukt nie byłby już wąskim gardłem dla pojazdów.

— A jaka jest druga wersja?

— Druga wersja pośrednio dotyczy wiaduktu na ulicy Aleksandrowskiej. Utrzymując propozycję zmodernizowania tego wiaduktu, proponujemy jednocześnie wybudowanie wiaduktu na ulicy Teresy. Dlaczego tak proponujemy? Ulica Teresy jest przecięta w połowie torami kolejowymi. A biegnie ona przez sam środek dzielnicy przemysłowo-magazynowej Zabieniec i Teofilów i ma połączenie z aleją Włóknarzy i Zgierską. Tędy może iść cały ruch samochodowy. I praktycznie tędy on idzie. Ale ze względu na brak wiaduktu nad torami samochody skręcają w ulicę Brukową i kierują się do wiaduktu na uli-

centrum Bałut. Konkurs ten wygrał zespół kierowany przez inż. Mirosława Wiśniewskiego. Dojeżdżamy właśnie do Rynku Bałuckiego, więc pytam:

— A co z tym? Było kiedyś niezłe rozwiązanie i pewnie leży w archiwum.

— Zmieniła się koncepcja — odpowiada Józef Kowalski. — Nie chcemy traktować centrum Bałut tylko jako centrum dzielnicy, ale jako część centrum miasta. Zgodnie z tą koncepcją opracowuje się nowy projekt.

Ma więc być tak: Rynek Bałucki powiększy się od strony północnej o 40 metrów. Obok kina „Swit” pozostawi się miejsce na teatr. Wokół rynku powinny powstać bloki mieszkalne, w których partery i pierwsze piętra przeznaczą się na sklepy i punkty usługowe. Rynek Bałucki, Zgierska, Stary Rynek, Nowomiejska aż do placu Wolności ma stanowić jeden ciąg handlowy. Już obecnie modernizuje się sklepy przy ulicy Zgierskiej i na Starym Rynku.

— Tworzymy już załazek tego projektu — mówi Józef Kowalski.

— Ale kiedy gotowa będzie całość?

— Nie od razu Kraków zbudowano...

— Nie od razu — zgadzam się. — Ale wiele decyzji rodzi się zbyt wolno, a później z reallacją też są kłopoty. Ot, na przykład pusty stoi pawilon przy ulicy Łanowej. Pusty jest też sklep przy „Skogarze”. Dlaczego?

— Tak się składa, że pawilon i sklep to są prezenty „Skoparu” dla miasta. Myśmy prezentowali pewną koncepcję wykorzystania pawilonu i sklepu, ale miasto nie podjęło jeszcze decyzji.

— Jaka to była koncepcja?

— Proponowaliśmy, aby do pawilonu przy Łanowej przenieść sklep z kozuchami, który obecnie mieści się przy Narutowicza. Kozuch kupuje się raz na kilka, jak nie na kilkanaście lat. Można więc się po kozuchach poszatygować na Teofilów. W pawilonie mogłoby też powstać pracownia kuśnierska i można byłoby tu robić niezbędne przeróbki. Natomiast do sklepu przy „Skogarze” proponowaliśmy przenieść z ulicy Nowotki sklep „Chelmka”, a tam zrobić warsztat szybkiej naprawy obuwia, głównie podklejanie butów. Wiadomo, że wśród reklamacji najczęściej jest skarga na złe klejenie. Taki warsztat potrzebny byłby właśnie w śródmieściu, gdzie każdy łatwo mógłby tam dotrzeć i gdzie można byłoby podklejać buty na poczekaniu. Z naszymi propozycjami zgadzało się Zjednoczenie Przemysłu Skórzanego.

— Ale miasto ma inne koncepcje?

Jedziemy dalej Łupkową i Krysztalową i dojeżdżamy wygodnie i szybko do Warszawskiej. Szlak ten uporządkowano i przygotowano do asfaltowania w czynie partyjnym. Teraz położono asfalt i tak powstał skrót łączący szlak warszawski z Bałutami — z Julianowską, Pojezierską i aleją Włóknarzy.

— Tędy — powiada Józef Kowalski — jedzie się teraz szybciej i wygodniej, no i mniej spala się benzynę.

To jedna z bałuckich inicjatyw. Jest ich więcej. Prześledźmy więc te

inicjatywy.

Na początek może czyni partyjne. Nie ograniczono się na Bałutach tylko do jednego dnia, kiedy pracowali wszyscy członkowie partii. Realizuje się też wiele zadań w Czynie Obywatelskim 35-lecia PRL. Ale istota sprawy sprowadza się do tego, że poszczególne środowiska otrzymały pewne rejon pod opiekę. Ulicę Franciszkańską porządkują na przykład pracownicy oświaty. Aktorzy i pracownicy Teatru Po-wszechnego pracowali na Teofilowie. Pracowano na budującym się osiedlu Radogoszcz — Zachód, pracowano przy porządkowaniu alei Włóknarzy. W czynie społecznym powstaje za osiedlami im. Marii Konopnickiej i Stefana Żeromskiego na Teofilowie duży ośrodek rekreacyjno-sportowy. Kiedy tam byłem, drogę do tego ośrodka porządkowała młodzież. Gospodarzem ośrodka będzie klub sportowy „Eity” i pobliskie spółdzielnie mieszkaniowe. Gotowe już jest boisko treningowe do piłki nożnej Kończy się prace przy boisku do siatkówki, koszykówki, kończy się też korty tenisowe. A wszystko to powstało na bagnistych nieużytkach.

Przy ulicy Brukowej powstaje ośrodek wypoczynkowy KS Budowlani. Zbiornik wody wybudowano jako basen kąpielowy, przystosowany też do skoków z trampoliny. Montuje się hale, powstaną warunki dla treningów zapasników, siatkarzy, wybuduje się kregielnię. Również KS Start otrzyma nową halę, a front klubowych terenów od ulicy Teresy odwróci się ku alei Włóknarzy.

Bałuty są wielkim terenem budowlanym. Buduje się na Teofilowie, Zgierskiej, Stefana, Li-manowskiego, Prusa. Nieustannie trwa porządkowanie ulicy Zgierskiej. Od ulicy Książewicza ma już ona dwupasmową jezdnię. Porządkuje

Ciąg dalszy na str. 5

Foto: R. Łucyszyn, J. Madeyski, Z. Walter, L. Włodkowiński



Dalszy ciąg ze str. 1

braku części zboże gnło na polach. Zaczęto więc zwracać większą uwagę na regenerację i naprawę zespołów, ale remonty nadal prowadzono najprostsza technologią, sposobami jeszcze chałupniczymi.

Po roku 1970 problem modernizacji i mechanizacji rolnictwa znalazł naczelną rolę w gospodarce narodowej. Rosła ilość sprzętu rolniczego, toteż w latach 1973-74 zaczęto się zastanawiać, czy dostarczać na rynek więcej wyrobów finalnych, czy też kosztem produkcji finalnej rozwijać ilościowo i wartościowo produkcję części zamiennych. Życie samo podpowiedziało, że aby mówić o nowoczesnym rolnictwie, powiększeniu hodowli i żyłce pól, koniecznych dla zaspokojenia potrzeb żywnościowych, trzeba pójść na kompromis, tzn. przy okazałym wzroście sprzętu zapewnić niewielki wzrost produkcji części zamiennych.

W tej sytuacji trzeba było szeroko i wnikliwie zająć się problemem regeneracji części zużytych. Aby położyć kres „chałupnictwu”, stworzono sieć zakładów specjalistycznych, zadano o właściwą kooperację, zorganizowano dystrybucję, bo przy operacji na skalę przemysłową ktoś musiał się zająć zbiorem i rozprawdaniem części zużytych i zregenerowanych oraz opracowaniem plan centralny i plany dla poszczególnych przedsiębiorstw.

Dzięki temu po pięciu latach mały POM w Rąbieniu na przykład stał się specjalistycznym potentatem w kraju w dziedzinie regeneracji niektórych asortymentów, a przedsiębiorstwa TOR podległe łódzkiemu zjednoczeniu doszły do wyników, które wzbudzają podziw i zdumienie: wartość części zregenerowanych w ciągu roku wynosi 150 milionów złotych.

Mgr inż. Edward Małec, dyrektor Zjednoczenia Technicznej Obsługi Rolnictwa w Łodzi, twierdzi że dobre wyniki można osiągać jedynie przy dobrej organizacji pracy, bez parazytów i sopleństwa. Po prostu nie wszyscy mogą zajmować się regeneracją, robią to tylko wytypowane zakłady zajmujące się wąskim asortymentem.

— Mamy takie zakłady, które są „fachowcami” jedynymi w całym kraju. Przedsiębiorstwo w WIDZEWIE-ZDZARACH zajmuje się regeneracją wałów korbowych do ciągników 40-11 oraz do pozostałych typów ciągników, a także wałów do samochodów „Warszawa”. RĄBIENIE to specjalista od głowicy do ciągników, a ZAPOLE w województwie sieradzkim regeneruje przewody wysokiego ciśnienia do aparatury paliwowej. PIOTRKÓW specjalizuje się w częściach obrotowych, walkach wielowypustowych.

— Pan wymienia tylko niektóre asortymenty. Czy to oznacza, że pozostałymi częściami zajmują się inne zakłady, czy też że nie wszystko daje się regenerować?

— Trudno mówić o regeneracji tłoków, pierścieni czy łożysk. Regeneruje się części zużyte, stare. Pęknięty wał korbowy trzeba wyrzucić na złom...

— Czy wobec tego regeneracja jest ekonomicznie uzasadniona?

— Według zarządzenia ministra koszt regeneracji nie może przekraczać 75 proc. wartości części nowej. MY NIEKTÓRE CZĘŚCI ROBIMY PO 20-25 PROC. WARTOŚCI NOWEJ. Zdać sobie sprawę, że stosunek procentowy niezbyt jasno przemawia do wyobraźni, podam więc dwa konkretne przykłady. Nowa głowica kosztuje 1.100 zł, a my ze zużytej robimy nową za 685 zł. Wał korbowy kosztuje 4.200 zł, a u nas taki sam wał uzyskuje się po regeneracji za 3.150 zł...

Te liczby nie budzą już wątpliwości, ale o korzyściach ekonomicznych świadczyć nie tylko złotówki. Są to sprawy nieznacznie istotne i jeszcze do nich wrócimy. Najpierw jednak warto zobaczyć, jak problem regeneracji rozwiązywany jest w praktyce.

Mgr inż. Andrzej Klita, zastępca dyrektora do spraw technicznych POM w Rąbieniu, mówi, że na początku, wskutek rozdrobnienia sił i środków, imali się wszystkiego, prowadząc 80 asortymentów. Głowice regenerowali dla potrzeb własnych, bo serce bolało, żeby wyrzucić na śmieci korpus głowicy za 750 zł. Nabrali doświadczenia, a że potrzeby rynku wzrosły, zaczęli się specjalizować. Pomógł im „URSUS”, fachowiec stamtąd założył fartuch i pokazywał ludziom z Rąbienia, jak to się robi. Sprawa była istotna, aktualnie w skali krajowej istnieje zapotrzebowanie na 400 tys. głowic. Nie było się co namyślać. Zarobią oni, zyska kraj. Ale teoria nie zawsze sprawdza się w warsztacie. Temat opracowany został przez Ośrodek Badawczo-Rozwojowy TOR w Widzewie Zdzarach, ale ten sam OBR musiał potem zapobiegać kontrolności pracowników z Rąbienia. Za wdrożenie regeneracji głowicy Brygada Pracy Socjalistycznej zajęła II miejsce w Łodzi (w całym przemyśle). Był to udany mariaż nauki z praktyką, laury bowiem zbierali także ludzie z warsztatów. Kierownik działu regeneracji — Stanisław Wotoszyński, mistrz Konstanty Wańkowskiego, spawacz wibrosterów Stanisław Witke, ślusarz narzędziowy Lesław Kuraszewski i technolog Kazimierz Grądecki, który pomagał robotnikom wprowadzać wnioski racjonalizatorskie do produkcji.

— Regenerujemy rocznie 60 tys. głowic — mówi Klita — dzięki czemu może pracować 15 tys. ciągników. Denerwuje nas to, że 10 proc. głowic odpada ze względu na duże uszkodzenia. Musimy więc pewną pulę zamawiać, ale szkoda w tym, że głowice na rynku nie ma. Kupujemy więc z „Ursusa” głowice wybrakowane, które tamci wyrzuciliby na złom i robimy z nich zupełnie dobre, sprawne części. Ale spawanie głowicy to ciężka sprawa, odzysk jest mały, bo nie ma aparatu do sprawdzania pęknięć.

My nie specjalizujemy się tak wąsko jak docenci. Bierzemy się za pompy wodne, a jak przyjdą żniwa, dorabiamy części do kombajnów poza specjalnością. Wały także regeneruje-

my, i to w prymitywnych warunkach, ale niedługo będziemy mieli nowoczesną halę do regeneracji...

Konstrukcje nowej hali już stoją. Inż. Romuald Gąsiorowski, szef produkcji, zauważa, że jak to się wszystko rozkręci, hale może okazać się za mała i zabraknie magazynów. Bo w Rąbieniu mają umowy z kooperantami — specjalistami, ale nie wszyscy mogą im dać potrzebne części. Dlatego też stworzyli bazę, taki własny mini-

Są nie tylko lepsze, ale i tańsze. Korzyści ekonomiczne niewątpliwie i to potwierdza się w Zakładzie Naprawczo-Produkcyjnym Mechanizacji Rolnictwa w Widzewie Zdzarach. To już niemal fabryka, w której zregenerowano dotychczas ponad 37 tysięcy wałów korbowych do ciągników i „Warszaw”. Dokonano tego w bryłej wiacie, zaadaptowanej na halę produkcyjną we własnym zakresie. Kierownik działu regeneracji, Henryk Wojciechowski, starał się możliwie dokładnie wyjaśnić problem regeneracji, ale ze

nowych wałów, a dzięki regeneracji tylko 13 proc., to jest to dość wymowne. Chcielibyśmy w przyszłym roku zregenerować 20 tys. wałów, ale limitują nam napawarki, brakuje też dwóch tokarek.

— A jak to jest z tym drutem do napawania?

— Sprowadziliśmy go z Austrii, tu cenę około 1.000 zł za kilogram. Obecnie robimy próby z drutem polskim. Zregenerowaliśmy już prawie tysiąc wałów, specjalnie sygnowanych i jeszcze nie ma reklamacji, że się psują. Próby wymagają masy poprawek, drut bowiem musi być kalibrowany i mosiądzowany na wierzchu, ale gdyby udało się nam to opanować, to zważywszy na cenę polskiego drutu — 306 zł za kg — koszt regeneracji jednego wału byłby o 50 proc. niższy.

— A czas użytkowania nie ulegnie zmianie?

— Wały regenerowane wytrzymują średnio dłużej niż nowe, ponieważ napawa się je lepszym materiałem, a po napawaniu nie ma już obróbki termicznej. Ponadto regeneracja nie jest technologią jednorazową, lecz powtarzalną. Regenerować można dwukrotnie, a nawet trzykrotnie. Gdyby nie „zmezczenie” materiału, doszlibyśmy do nieskończoności...

Kiedyś w telewizji ogłoszono z entuzjazmem, żeby wszyscy chętni zgłaszali się do Widzewa Zdzar, bo tam regeneruje się wały korbowe do samochodów i wtedy zaczęły się urywać telefony, dzwoniło z całej Polski. Na razie regeneruje się tylko wały do „Warszaw”. Zeby zająć się innymi samochodami, trzeba mieć odpowiednią moc przerobową i oprzyrządowanie. A zresztą potrzeby rolnictwa będą tak ogromne, że nie starczy czasu, nawet po uruchomieniu trzech zmian, na sprawy samochodowe.

W tym miejscu nasuwa się pytanie, czy regeneracją nie powinny zajmować się stacje obsługi i warsztaty samochodowe? Gwałtowny rozwój motoryzacji wskazuje, że powinny. Każdy wie jak to jest z częściami i jakie kokosowe interesy robią niektóre warsztaty. Za części nowe trzeba słono płacić. Skoro TOR bierze się za części samochodowe, to znaczy, że problem jest poważny. Chodzi o to, że nie wszystkie warsztaty i stacje obsługi mogą zająć się regeneracją, bo technologia wymaga drogich maszyn, a wtedy byłoby to dla nich nieopłacalne. Ale czy nie można wziąć przykładu z rolnictwa i stworzyć kilka specjalistycznych przedsiębiorstw, które by prowadziły regenerację części samochodowych na skalę przemysłową? Niestety, nikt się za to nie bierze. A może chodzi wyłącznie o opłacalność? Bo koszt remontów przy użyciu części zregenerowanych jest o wiele niższy...

Dyrektor Małec powiedział mi, że w TOR potaniecie remontów wbrew pozorom wpływa korzystnie na wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa. Zyskuje także rolnik. Za remont traktora płaci mniej, bo płaci za części zregenerowane, które są tańsze.

— Mówiliśmy dotąd o ciągnikach — mówi Edward Małec — ale nie tylko one świadczą o naszych osiągnięciach. My przecież regenerujemy 55 pozycji metodą warsztatową i ponad 360 pozycji metodą przemysłową, które są częściami do ciągników, wszystkich typów kombinów, do kolumn parnikowych i pras wysokiego zgniotu. Mógłbym się pochwalić liczbami, mógłbym sygnąć milionami, ale po co? Mnie bardziej cieszy fakt, że na przykład potrafimy nie tylko spawać części, ale nawet kleić je za pomocą żywicy epoksydowych. Ze kiedyś wymontowano zespół, rozgrzebano i czekano na uszczelkę, a dzięki regeneracji można wymienić cały zespół, dobry...

— Pan sam stwierdził, że liczby nie zawsze przemawiają do wyobraźni. Czy ma pan inne argumenty, oprócz już przedstawionych, które by przekonały wszystkich, że regeneracja to obecnie sprawa numer jeden w technicznej obsłudze rolnictwa?

— Mówiliśmy już o wielu korzyściach i pozytywach, ale to nie wszystko. To jest temat rzeka. Wskaźnikiem ważności problemu jest na przykład zużycie części zregenerowanych w stosunku do części nowych. Otóż w całości puli stanowią one 57 proc. w skali zjednoczenia.

— Ale to znowu liczby...

— Dobrze! Darujmy sobie liczby! Weźmy żniwa. Od jesieni do wiosny regenerujemy części, które przydadzą się na żniwa i do sianokosów. O, właśnie, sianokosy! To jest nowy problem, bo przy wysokich trawach „zgam” zdają tylko kosiarce rotacyjne, do których bez przerwy potrzebne są części zamienne. Mając części zamienne zregenerowane zawsze możemy dotrzymać terminu naprawy, bez długiego czekania na nowe części z „Agromy”. Wie pan nie ma się co ludzi, „Agroma” będzie miało coraz mniej części. I jeszcze jedno. Przy każdym zespole lub obiekcie remontowanym z użyciem części zregenerowanych istnieje taka gwarancja, jakby to było nowa maszyna lub część nowa, kupiona. Czy tych argumentów wystarczy?

— Ja bym jeszcze coś dodał. Otóż wydaje mi się, że w dobie oszczędności u gospodarce materiałowej regeneracja jest odnotowaną i udokumentowaną wyimkami ogromną „rezervą”. Ze jest to także poważne uniezależnienie się od importu, w tym również z Zachodu. Regeneracja jest korzystna ekonomicznie, tania, gwarantuje długowieczność w użytkowaniu części mechanicznych. Jeżeli jest tak dobra, to czy inni nie przychodzą do pana, aby spytać, jak wy to robicie? Chciałoby przedstawiciele przemysłu lekkiego, gdzie na nadmiar części zamiennych chyba nie narzekają?

— Na łok ze strony zainteresowanych nie mogę się uskarżać. Minęło kilka lat i nikt jeszcze do nas nie przyszedł...

Z GŁOWĄ DO GŁOWICY

— aparat handlowy. Baza skupuje części potrzebne do regeneracji i sprzedaje specjalistom, bo w Rąbieniu regeneruje się tylko kilka asortymentów.

— Czy pan wie — mówi Gąsiorowski — że kiedyś trzeba było zwozić po Polsce za głowicami? A teraz przerobić nie można! Ale mimo tego, że mamy mało maszyn, produkcja jest duża.

— Przy takim zapotrzebowaniu moglibyście podwoić regenerację.

— Oczywiście! Ale nie otrzymujemy wszystkich potrzebnych maszyn. Można by pracować na trzy zmiany, ale stare maszyny nie wytrzymują takiego obciążenia. Są np. starego typu szlifiernie od „Strzelczyka”, których już się nie produkuje i „Strzelczyk” nie chce ich remontować.

— Do naprawy staroci potrzebne są nowoczesne maszyny?

— Do regeneracji potrzebny jest przede wszystkim człowiek myślący. Bo zregenerować jest trudniej niż zrobić coś nowego. Przy regeneracji głowicy nie powtarzają się, to znaczy nie mają tych samych cech, co w produkcji seryjnej. Poza tym głowice zregenerowane są lepsze od nowych i dłużej pracują, gdyż uzupełnia się je lepszym, bardziej trwałym materiałem...

jest to technologia dość skomplikowana, ograniczają się do ogólników. Otóż, w skrócie, polega to na demontażu wału korbowego, myciu, badaniu na defektoskopie, czy nie ma pęknięć, po czym następuje najważniejsza operacja: napawanie ubytków specjalnym drutem. Dokonuje się tego na urządzeniu wibrosterowym. W całym procesie należy jeszcze zwrócić uwagę na srurowanie, a później szlifowanie do uzyskania parametrów, jaki posiada nowy wał, produkowany seryjnie.

Pracujący w tej hali ludzie za swoje osiągnięcia otrzymali wraz z naukowcami zespołową nagrodę II stopnia, przyznaną przez ministra. Wśród wyróżnionych, zatrudnionych bezpośrednio w produkcji, byli m.in.: Franciszek Błęcki — najpierw weryfikator, obecnie mistrz, szlifierni Henryk Ślusarski, spawacz Czesław Sychański i ślusarz Henryk Mękosza.

To, że władze widzą tych ludzi ze doceniają ich trud i nagradzają, jeszcze raz potwierdza fakt, jak istotną w gospodarce narodowej staje się sprawa regeneracji.

Mówi zastępca dyrektora do spraw technicznych w Widzewie Zdzarach, inż. Eugeniusz Pawełczyk:

— Nie mogę stwierdzić, że „Agroma” jest już niepotrzebna, ale jeśli podam, że dotychczas do ciągników 40-11 musieliśmy kupować 30 proc.

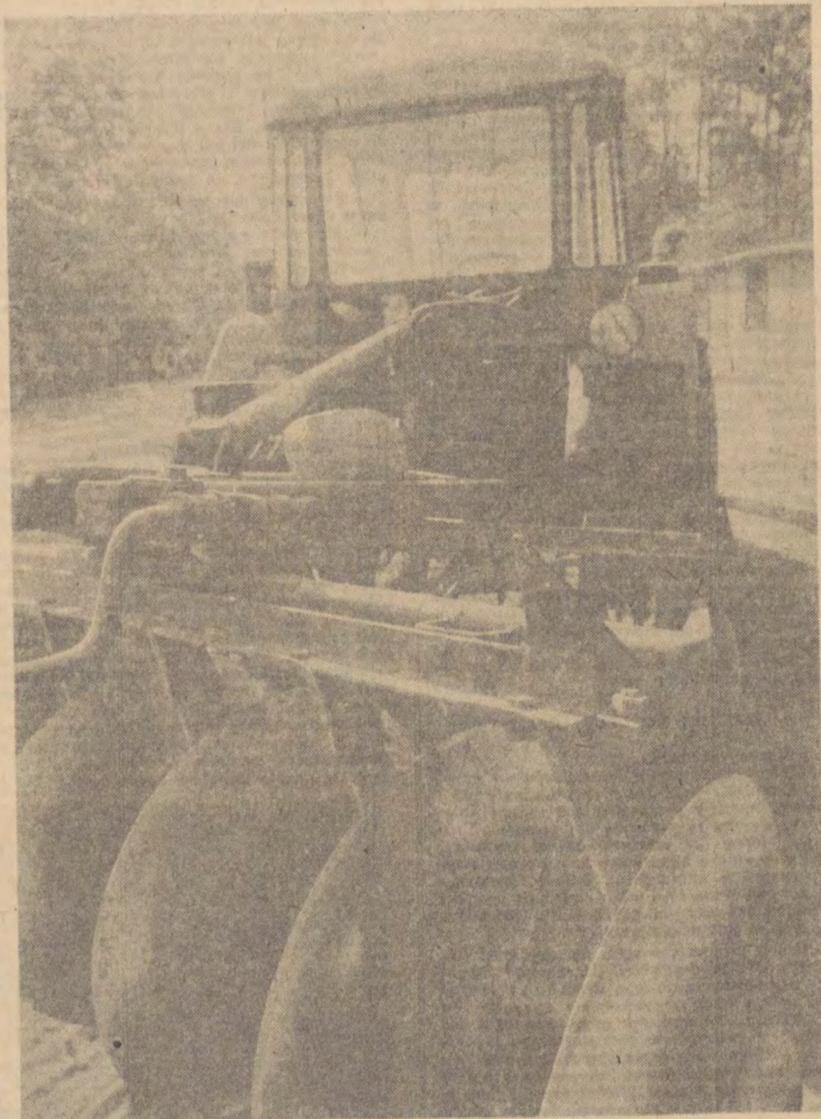


Foto: R. Łucyszyn

RYSZARD BINKOWSKI

MIROŚLAW KUŹNIAK

OPE- TANI

„Diabeł go opętał”, albo krócej: „opętało go” — tak dawniej na wsiach polskich kwitowano pomyłek, niedoświadczeń, dziwaków, czyli ludzi wyróżniających się lub postępujących wbrew powszechnie lub lokalnie przyjętym normom. Odstępstwa mogły być różne. Belkot wiejskiego przysłupka był tu odmianą „opętania” chyba najbardziej swojską. Wiejski „boży pomylenie” zdobywał sobie — jeśli nie sympatię wsi — to życzliwą litosć, która kazala go ludziom tolerować, a nawet żywić i ubierać. W dawnych czasach pełnił on niekiedy — dość szczególną — funkcję wiejskiego błażna.

W jaskrawszy sposób „opętanie” wys owowało w przypadkach, gdy normalny gospodarz, sąsiad, poczynał robić rzeczy dziwne, drażniące ludzkie przyzwyczajenia. O, tu skala działań „opętanego” mogła być duża. Na przykład, dotyczyło mogła sfery prac gospodarskich lub — rzadziej — życia towarzyskiego. Równie dobrze mogła objawiać się tak niepojętymi i niepotrzebnymi, zdaniem wsi, zajęciami „opętanego”, jak rzeźbienie czy malowanie. W każdej wsi pewnego rodzaju „działalność artystyczna” — nazwijmy ją tak umownie, wpisana była w obowiązujące zwyczajnie i obyczajnie. Malowanie chat, przygotowywanie pisanek, wycinanie domowych ozdób lub firanek z papieru montowanie wózków dyngusowych, czy bajanie w długie, jesienne i zimowe wieczory — to były nieodłączne atrybuty wiejskiej egzystencji. Zresztą prace te były zwyczajowo przypisane kobietom. Inaczej — rzec się miała, gdy zabierał się do tego mężczyzna, a zwłaszcza w dni nieprzeznaczone na odpoczynek. Wtedy w grę wchodzić mogło tylko „opętanie”, a co za tym idzie — ogólne potępienie, a nawet czasem wysmianie przez wiejską gromadę. Oczywiście, tak bywało w bardzo odległych czasach. A przecież nieraz podczas rozmowy z dzisiejszymi twórcami ludowymi konstatację ze zdziwieniem, że w wielu z nich tkwi wciąż obawa przed wyróżnieniem się ze społeczności, przed innością.

Nie będę ukrywał, że bardzo mi się podoba to dawne określenie „opętania”. Jeśli zaś odrzucimy ten — dawniej — najboleśniejszy czynnik diabelski, to przecież wielu współczesnych twórców można nazwać „opętanymi” bardzo piękna, szlachetną pasją tworzenia. Czyż nie jest „opętany” Szczerpan Mucha, wspaniały rzeźbiarz, autor pięknych diabelskich, świątków, uli sakralnych? Czyż inaczej można określić dwóch znakomitych sieradzkich malarzy: Jerzego Kaczmarka i Stanisława Korpe? Jakże piękne owoce przynosi to „opętanie”. Byłoby było ich więcej! Niestety, jest ich coraz mniej, a przynajmniej tych najautentyczniejszych, najdołniejszych, bo hochsztaplerów nigdy nie brakuje, jak w każdej ludzkiej działalności.

W prawie każdym Muzeum Regionalnym można otrzymać spis twórców ludowych mieszkających na danym terenie. Częściej jednak są to zdołni rzemieślnicy, na przykład kowale czy garncarze. Nie chcą tu umniejszać ich roli, piękny pogrzebacz, czy barwnie poma-

lowane doniczki są niekiedy arcydziełami w swoim rodzaju, nawet bliższymi tak zwanej sztuce ludowej, zawsze noszącej znamiona utylitarysty. Chętniej jednak tropię ludzi tworzących sztukę, przynajmniej w założeniu „czystą”, a więc malarzy i rzeźbiarzy.

W naszym regionie największą jest ich w Sieradzkim. Przynajmniej pięciu o ogólnopolskiej sławie. To dużo, bardzo dużo w porównaniu, na przykład, z Piotrkowskiem, gdzie przeważają ceramicy i kowale (oczywiście, trochę inaczej jest w Opoczyńskim). Jakże tu nie zachwycać się sieradzkiimi twórcami, jeśli znalazłem tu całą wieś „opętanych”. Wieś nosi nazwę Monice.

Praktycznie między Sieradzem a Monicami nie ma wyraźnie zaznaczonej granicy. Tam, gdzie kończy się miasto, bierze swój początek wieś. To przejście sygnalizuje jedynie tablica, za którą ciągną się wzdłuż drogi solidne mury, wznoszące z wymyślnymi balkonami, tarasami i innymi ozdobami, tak modnymi ostatnio na prawie każdej polskiej wsi. Toteż Monice zewnętrznie nie różnią się niczym od innych sieradzkich wiosek. A jednak można zauważyć, że ta wiośniczka na każdym kroku — zamknięta jest świeżej daty.

Nie byłem w Monicach przed dwudziestu, trzydziestu laty. Nie byłem i bardzo tego żałuję, ponieważ to, czym obecnie wioska słynie, wzięło swój początek właśnie z tamtego czasu. Sztuka ludowa — tak żywa w Monicach — nie wyszła przecież z ceglanych murów, ale z poczynała się na wymyślnych tarasach czy w chłodku balkonowego cienia.

Jeśli chciałby ktoś szukać związku przyczynowego między twórczością ludową a owymi murywanymi willami, to łatwo by go znalazł. W tej wsi i w wielu innych, w których do dziś żywa jest tradycja sztuki ludowej, murawańce, tarasy i balkony, a przede wszystkim zasobne obejścia, są w jakimś stopniu owocem mroźniejszej pracy ludowych tkaczy, hafciarek i rzeźbiarzy. Prawdą bowiem jest i to, że w niektórych wsiach współpraca z „Cepellą” stała się bardziej opłacalna niż gospodarzenie na ziemi. W swoich wędrówkach po wsiach kilku województw trafiłem na przypadki, kiedy to „twórczość dla Cepelli” stała się podstawą bytu całych rodzin. Czy podobnie jest w Monicach? Nie wiem. Zresztą wyjątki mogą ponoć potwierdzać regułę. Poza tym oddajmy i „Cepelli” sprawiedliwość: instytucja ta zrobiła dużo dobrego dla folkloru, zwłaszcza w początkowym okresie.

Monice największej zawdzięczają byłej dyrektorce sieradzkiego muzeum — Zofii Neymanowej. Piszę „największej”, a chciałoby się powiedzieć, że prawie wszystko. To przecież ona „odkryła” tę wieś, swoją energią zachęcała do kontynuowania tradycji tkackich. Natomiast patronat kierowanej ówczesnie przez nią placówki dopomógł w najtrudniejszych, początkowych chwilach.

Prawdą jest i to, że Zofia

Neymanowa znalazła w Monicach podatny grunt dla swoich idei. Nie jestem pewien, czy zdołałaby osiągnąć cokolwiek bez akceptacji wsi, bez czynnego poparcia przez wiejską społeczność.

W oficjalnym wykazie twórców ludowych województwa sieradzkiego naliczyłem sześć osób z Monic. Sześciu twórców najbardziej znanych. Ale wokół każdego z nich grupują się inni, jeszcze niewiele znani, ale także nie pozostawiający twórczych ambicji. Prawdziwą „instytucją” w tej wsi jest Józefa Chaladajowa, wycinankarka i tkaczka. Pani Józefa prowadzi w Monicach Zespół Tkaczek. Istnieje on już od 1953 roku, przechodził różne koleje, wzloty i upadki. Przetwał, bo szlachetna pasja Zofii Neymanowej złączyła się z uporem pani Józefy.

Chaladajowa zajmuje szczególną pozycję na wsi. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że w swoim dorobku ma liczne nagrody w konkursach na sztukę ludową, nawet otrzymała dyplomy w konkursach organizowanych poza granicami kraju. Oczywiście, na tę szczególną pozycję zapracowała nie tylko twórczością ludową. Myślę, że już wcześniej wieś zaakceptowała jej niepospolite zalety organizatorki. Przed obiektem Józefy Chaladajowej najczęściej zatrzymują się reporterskie samochody. Nawet dzieci z Monic, pytane o twórczość ludową, wskazują bez wahania dom pani Józefy. A przecież tym razem wybraliśmy się nie do niej, lecz do innej, równie znanej tkaczki, Marii Pawlakowej, laureatki pierwszej nagrody niedawno rozstrzygniętego konkursu w Muzeum Sieradzkim.

Matka i córki

Maria Pawlakowa mieszka z dala od drogi, w głębi wsi, w jednym z parterowych willowych domków. W jesienne przedpołudnie panuje tu leniwa cisza, której nie mać nawet — ujadanie wiejskich Burków. Bezskutecznie pukamy do drzwi domku Pawlakowej. Mąż pani Marii, ukazujący się w głębi podwórza, informuje nas, że żona pojechała do Sieradza i „ot, za drobne pół godziny powinna wrócić”.

Elżbieta Delida, sieradzki etnograf, kręci powątpiewająco głową. Tutejsze pół godziny łatwo może okazać się dwugodzinnym beczynnym oczekiwaniem. Po chwili namysłu idziemy więc do matki pani Marii, która mieszka na drugim krańcu wsi.

Elżbieta Delida zapowiada niespodziankę. Matka Pawlakowej, Stanisława Kubikowa, to również znana tkaczka, laureatka krajowej nagrody im. Oskara Kolberga. Ma obecnie 87 lat i coraz rzadziej zajmuje się tkactwem, ale do dzisiaj zachowała pełną sprawność. Pomaga w domu drugiej córce, Władysławie Szymczakowej, a nawet rwie się do pracy w polu. Po prostu nie znosi beczynności.

Wechodzimy na podwórko. Tu, ukryty za murywaną chałupą, w głębi gospodarstwa, stoi drugi dom. Prawdopodobnie przed dwudziestu laty takie małe, drewniane domki musiały przeważać w Monicach. Przez środek niskiej izby, świeżo wybielonej, ciągnie się belkowany sufit. Zwiększają się z niego kolorowe pająki. W uchyłonej szafie zauważamy barwne spódnice i zapaski. Na łóżku leżą, a właściwie stoją — ułożone na boku — haftowane poduchy. Zaprosiła nas do tej barwnej izby gospodyni, Władysława Szymczakowa. Po chwili przychodzi też matka, Stanisława Kubikowa. Ona to rozpoczyna opowieść o tkactwie, tkaniinach i kolorach zamkniętych w iniane płótno.

Stanisława Kubikowa nauczyła się tkactwa od matki. Było to wiele lat temu, gdy z inianego płótna kobiety umiały jeszcze szyć koszule dla mężczyzny i bluzki dla siebie. Z tego czasu pozostał Kubikowej stary warsztat, odziedziczony po matce. Obecnie losy warsztatu dopełniają się w piwnicy, gdzie leży rozłożony na cześci.

Miałam czternaście lat, gdy matka po raz pierwszy dopuściła mnie do warsztatu. Uczyła mnie, pokazywała, a nie była to łatwa nauka. Chyba najszybciej można było nauczyć się tkania płótna zgrzebnego. Trochę trudniej było z pacheśnym, a już tkanie cienkiego było najtrudniejszą robotą. Kobiety najwięcej klo-

potów miały z inem, z przygotowaniem go do tkania. Nad inem trzeba było pracować cały rok. Łatwiej było utkać tkaniny wełniane, a więc na zapaski, wełniaki.

Wełniane tkaniny zapasek musiały być kolorowe. Pani Kubikowa opowiada, że za jej czasów kobiety już nie trudziły się samodzielnym barwieniem wełny. W Sieradzu mieszkał specjalista-farbiarz, który jeżdżąc od wsi do wsi, zbierał po chałupach zamówienia na barwienie wełny. Każda z kobiet zgłaszała zapotrzebowanie na kolory według swoich upodobań i gustów. Pani Kubikowa najbardziej lubiła kolory czerwone, zielone, żółte i czarne. Z nich układala później paski w swoich zapaskach. Zresztą są to ulubione kolory również córki Pani Stanisławy. Kubikowa ma trzy córki.

Dwie — Władysława i Maria — są znakomitymi tkaczkami. Trzecia nie nauczyła się tej sztuki. Dlaczego?

— Umie, umie. Niech pan jej nie wierzy — mówi Stanisława Kubikowa. — Jak było trzeba, to nie tylko tkala, ale i wyszywała.

Prawdą jest jednak i to, że tylko dwie córki stały się znanymi tkaczkami. Maria Pawlakowa jest zresztą wszechstronnie utalentowana. W Muzeum Sieradzkim oglądam nie tylko jej tkaniny, ale także pająki, wycinanki, a nawet dyngusowy wózek.

Z wielkanocnym wózklem rzadko już chadza się po wsiach. Tradycja ta powoli ginie, ale nie w Monicach. Jeszcze w tym roku miejscowi strażacy skonstruowali barwny wózek, z którym krążyli po domach. Obejrzała to widowisko Zofia Neymanowa. Ponoć w tym wózku nie wszystko zgadzało się z tradycyjnym przybraniem, ale nawet pani etnograf przyznała, że na te niedopatrzności, bo w tym przypadku więcej liczą się dobre chęci. Ostatnio Maria Pawlakowa przygotowała dwa wózki dla muzeum. Oba ustrójone są według starej tradycji. Sama konstrukcja wykonana została przez jej męża, lubiącego dłużyć się w takiej nietypowej robotcie. Tak to razem wspierają się, pomagają sobie ku pożytkowi i ucielesze Elżbiety Delidy.

Natomiast Wacława Szymczakowa pozostała wierna tkactwu.

Tkactwa nauczyłam się od prababci — mówi Szymczakowa. — Uczyłam się trochę jej na przekór. Babcią nie chciała dopuszczać mnie do warsztatu, ponieważ za pierwszym razem popsułam jej materiał. Toteż musiałam czekać, aż zostanie sama w chałupie. Wtedy, smyrę, do warsztatu.

Zaczynała — tak jak i jej matka — od nauki tkania płótna inianego. Wyszła z tej pierwszej tkaniny koszula męska. Pani Wacława wymyśla z szafy taką starą sieradzką koszulę. Kubikowa pokazuje piękny haft, będący również dziełem Szymczakowej. Od płóciennej bieli ładnie odbijają kolorowe kwiatuszki i pączki — ulubione motywy sieradzkich kobiet. Barwny haft ciągnie się jedynie wzdłuż kołnierzyków koszuli. Bardziej zdobione były koszule damskie, mające bogaty i kolorowy haft nie tylko na kołnierzykach, ale i rękawach. Dziś się rzadko nosi takie koszule i bluzki. Większość z nich pozostała już tylko muzealnymi eksponatami. Niekiedy — tak jak u Szymczakowej — leżą głęboko na dnie przepaścistych szaf, obok wełniaków i fartuchów.

Szymczakowa posiada cały kompletny strój sieradzki. Ostatni z wielu, które utkała przez lata. Zachowała go na szczególne okazje rodzinne i świąteczne. Ale nawet w święta nie wszystkie kobiety nakładają barwne wełniaki. Te młodsze, wstydzą się swoich „starych, tradycyjnych strojów”. Uwierają się po miejsku, ginąc w tłumie podobnie ubranych, według konfekcyjnej sztanicy, kobiet.

Po co mi więcej wełniaków? — pyta Wacława Szymczakowa. — Po mojej śmierci dzieci i wnukowie wyrzucą je, albo, w najlepszym wypadku, połączą na podłogę jako chodniki.

Nie ubolewam nad tym, że na wsi kobiety nie ubierają się w stare stroje. Są one zadziwiająco ciężkie i nieporęczne, na przykład w Łowickiem. Ale — moim zdaniem — nie można dopuścić do zaniknięcia umiejętności tradycyjnego tkania starych wełniaków i fartuchów. Jak obronić tę umiejętność przed zalewem maszynowych serii? Chyba tak jak to robi Muzeum Sieradzkie, ogłaszając rokrocznie konkursy dla tkaczy, hafciarek, wycinankarek. Wysokie nagrody powinny być czynnikiem przyciągającym nowe adeptki tkactwa.

Powinny być, ale czy są rzeczywiste? Otóż nie. Od lat w konkursach biorą udział te same twórczynie. Czołówka tkaczy jest ustabilizowana. Tak samo dzieje się na przykład w garnceństwie, czy kowalstwie, przy czym oba zawody są już właściwie wymierające.

Szymczakowa spytana o wnuczki, milczała wymownie. No cóż, w naszych wsiach coraz mniej „opętanych”.



Foto: Archiwum

Nazwano ich najbardziej tajemniczym narodem świata, ale nikt nigdy nie zadał sobie dość trudu, aby tę ich tajemniczość naprawdę zrozumieć. „Cygańska romantyka” tyle razy wystawiana w malarstwie, poezji, tańcu czy muzyce, nigdy nie odzwierciedlała istoty tej szczególnej pozycji, jaką ta mniejszość etniczna, która w ciągu sześciu stuleci przewędrowała długą drogę z Indii do Europy Środkowej i Zachodniej, zajęła w życiu codziennym narodów, udzielających jej gościny. Cyganie zawsze znajdowali się na uboczu, poza wszelkimi systemami społecznymi i zawodowymi, zawsze traktowani byli jako coś gorszego. Ich sytuacja była jeszcze trudniejsza, niż sytuacja Żydów, którzy w ciągu stuleci zdobili się jednak zasymilować, a nawet wyemancypować wśród narodów europejskich, zanim hitlerowski barbarzyństwo skazało ich na zagładę. Cyganie pozostali zawsze Cyganami — kwintesencją obcości, która wciąż na nowo zdolna jest pobudzać wrodzoną ksenofobię tubylców. Dla ciasnych umysłów ludzi osiadłych i posiadaczy owa społeczność wędrowców była zawsze elementem społecznym, któremu łatwo było przypisać wszystko co najgorsze — od kradzieży, aż po porwanie dzieci. Bezbronni i pozbawieni godności, których każdy może bezkarnie obrażać, podejrzani włóczędzy, otoczeni nimbem zabobonu i czarów, zda się — sam Bóg stworzył ich po to, aby byli ludźmi niższej kategorii i kozłami ofiarnymi.

Wielkie znaczenie dla 10 milionów Cyganów, którzy żyją dziś w rozproszeniu wśród 30 narodów świata, miało przyjęcie ich w roku 1979 do ONZ — jako członka konsultacyjnego Rady Gospodarczej i Społecznej FCOSOC.

„Największe wydarzenie w smutnej historii tego ludu” — tak określili ten akt uznania w sensie prawa międzynarodowego, przewodniczący „Międzynarodowej Wspólnoty Cygańskiej”, lekarz z Berna, Jan Cibula. Nieco wcześniej Podkomitet ONZ do spraw Praw Człowieka przyznał Cyganom status mniejszości narodowej.

„Tam, gdzie spotkasz Cyganów — panuje wolność, tam, gdzie ich nie ma — wolność umarła”. Prawdziwość tego porzekadła nigdy nie potwierdziła się z taką wyrazistością, jak w okresie Trzeciej Rzeszy. W średniowieczu Cyganie byli wolni jak ptaki, co nie było wprawdzie najlepszym rodzajem egzystencji, ale państwo hitlerowskie zgotowało Cyganom o wiele gorszy los. Najpierw zmuszono ich — nomadów z działa pradziada — do prowadzenia życia osiadłego. Następnie, w r. 1939 ogłoszono osławiony „dekret o stałym miejscu zamieszkania”, zgodnie z którym żadnemu Cyganowi nie było wolno opuścić swego miejsca pobytu. W Urzędzie Policji Kryminalnej Rzeszy utworzono specjalny wydział — „Centrale do zwalczania Cyganstwa”, która z biurokratyczną dokładnością opracowała w najdrobniejszych szczegółach przepisy dyskryminujące Cyganów. W obozach koncentracyjnych pierwsi Cyganie znaleźli się już w roku 1938. Wkrótce po tym zaczęto zwalniać z Wehrmachtu i wojskowej służby pomocniczej tych Cyganów, którzy zostali powołani do służby z chwilą wybuchu wojny. Cyganie zostali objęci dekretem o „profilaktycznym zwalczaniu przestępczości”, na mocy którego wszyscy mieli zostać poddani przymusowej sterylizacji. Konkretny przykład działania tego barbarzyńskiego dekretu przytacza Marta Adler — Niemka, która miała kolejno trzech mężów-Cyganów, w swoich wspomnieniach, opublikowanych w 1957 roku przez bremeńskie wydawnictwo Schuenemanna, pod tytułem „Cyganie byli moim losem”:

„Mąż otrzymał list od swego brata, który na wstępie bardzo prosił, aby tego co pisze nie pokazywać nikomu... „Ach, mój drogi bracie — pisał szwagier — Musiałbym zapisać się pod ziemię ze wstydu, gdyby twoja żona to przeczytała. Hańba, jaka nas spotkała, jest nie do zniesienia, stało się bowiem, że ja sam, cała moja rodzina wraz z dziewięciorgiem dzieci — wszyscy zostaliśmy wysterylizowani!”

Marta Adler opisuje następnie, jak liczni Cyganie z prowincji uciekali do Berlina, w nadziei, że unikną sterylizacji. Ale również tam wpadli w ręce władz, gdyż nie mieli dokumentów, ani kartek żywnościowych, a ponieważ nie mogli wykazać się stałym miejscem pracy — wywołano ich do obozów.

„Kiedy w Prusach Wschodnich i Zachodnich przystępowano do formowania transportu Cyganów do Oświęcimia, Gestapo organizowało na nich prawdziwe polowania — wspomina

dalej Marta Adler. — Czatowano na nich w miejscach, gdzie pracowali i wywożono, nie informując nawet o niczym ich rodzin. Lokalne władze postępowały przy tym absolutnie według własnego widzimisie. Często np. wywożono rodziców, zostawiając dzieci na łasce losu, bądź też przeciwnie — odbierano dzieci rodzicom”.

Ofiarą „ostatecznego rozwiązania” kwestii cygańskiej padło pół miliona ludzi, w tym 80 tys. Cyganów tylko z Europy środkowej i większość spośród 40-tysięcznej wspólnoty Cyganów niemieckich. W ciągu jednej tylko nocy z 31 lipca na 1 sierpnia 1944 roku w komorach gazowych Oświęcimia zginęło 4-5 tys.

talistycznej świadomości obarczonej klątwą egzystencji całego szeregu oznak, świadczących o indyjskim pochodzeniu Cyganów. Pierwszą taką oznaką jest — jego zdaniem — świadomość kastowa społeczności cygańskiej. Przynależność do określonej kasty, podobnie jak u Hindusów, każde cygańskie dziecko przynosi z sobą na świat jako nieodwracalny los. Ponadto Cyganie uprawiają tradycyjne zajęcia, które w Indiach zastrzeżone są wyłącznie dla przedstawicieli najniższych kast — niedotykanych, a więc — taniec, muzyka, wodzenie niedźwiedzia. Ich zręczność w rzemiołstwie przejawia się szczególnie w obróbce metali, która to specjalność pochodzi z Azji, gdzie jest tra-

takim pochodzeniu wydaje się świadczyć jeszcze jedna cecha tego ludu: życie społeczno-cygańskiej, gdzie — według powszechnie panujących pojęć — nie ma żadnego ładu i porządku — w rzeczywistości jest ściśle ograniczone różnymi tabu i prawami obyczajowymi. Należy do nich zaliczyć przede wszystkim ich pojęcie nieczystości, niegodności — „paleczido” („balicido”).

George van Soest, który jako socjolog utrzymuje od r. 1971 kontakty z pobożnymi i osiadłymi Cyganami Cinti w RFN, zamieścił w swej opublikowanej niedawno książce „Cyganie między przesłaniem a integracją” protokół z rozmowy, przeprowadzonej z 21-letnią Cyganką, Barbarą, zawierający m. in. fragment dotyczący pojęcia „paleczido”:

Soest: — W schronisku dla bezdomnych musiały sprzątać ubikacje i myć wanny, czy to cię brzydziło?

Barbara: — Tak, to zajęcie jest paleczido. To nie jest praca dla nas, wiesz o tym przecież.

Soest: — Co by się więc stało, gdyby inni Cyganie dowiedzieli się, że robiłaś coś takiego?

Barbara: — Odbyłby naradę i mnie także uznaliby za paleczido.

Soest: — Byłabyś więc wykluczona ze wspólnoty?

Barbara: — Tak, byłabym wykluczona. Nie byłoby mi wolno odezwać się do żadnego Cinti (tak nazywają siebie plemiona cygańskie, które od 550 lat wędrują po Europie Środkowej, a zwłaszcza po Niemczech).

Soest: — Nie chciałbyś w ciebie nie jeść?

Barbara: — Nawet nie weszłby na próg. Byłabym dla nich Chali (nie-Cyganka)... To jest straszne, wtedy człowiek czuje się taki samotny...

Także Marta Adler wspomina nauki, jakich udzielała jej pierwsza teściowa:

„Wszystko, co człowiek z siebie wydała, jest nieczyste i według naszych praw i obyczajów nie wolno tego dotykać. Miotła, która zmiata się wszelkie śmiecie, jest nieczysta. Jeśli na podłodze stoi garnek, musisz dobrze uważać, aby przechodząc nie dotknąć go spódnicą. Nigdy też nie opieraj się tyłkiem o stół, na którym stoi coś do jedzenia — musielibyśmy wszystko zniszczyć... Kobieta nie może także nigdy rodzić w mieszkaniu, lub w wozie. Lekarz i położna także są „balicido”. Jeśli Cygan musi wezwać położną do swej rodzącej żony, to za nie w świecie nie weźmie do ręki torby z jej narzędziami. Najgorszą jednak rzeczą jest, gdy ktoś z naszych zada się z „kusz-polo”, tj. z człowiekiem, który zabija konie lub psy. Byłby wyklęty na całe życie. Taki Cygan musiałby opuścić swój tabor i zostałby wykluczony ze wspólnoty. Człowiek z naszego ludu nie weźmie do ust mięsa konia, ani psa, nawet, gdyby miało to go uratować od śmierci głodowej. Tak, to prawda, albowiem koń i pies to święte zwierzęta naszego ludu”.

Hinduskiego pochodzenia wydaje się być także moralność małżeńska Cyganów, która zakazuje kobiecie po śmierci męża wychodzić ponownie za mąż. Marta Adler, która w rozmowach z obcymi Cyganami nigdy nie przyznawała się do tego, że miała aż trzech mężów z cygańskiego rodu, opisuje dokładnie właśnie ten obyczaj. Przytacza także tekst przysięgi, jaką wdowa musi złożyć na grobie swego męża:

„Słyszysz, Mężu, Bóg i wszyscy moi zmarli są świadkami, że zachowam ci wierność aż do ostatniego tchnienia! Niech duch twój z wolą boską wraca zawsze do nas, towarzyszy mi i chroni w tym żywocie. Spotkamy się w Panu”.

Cyganie Cinti są wszyscy chrześcijanami, przeważnie katolikami.

Początkowo wędrownych Cyganów uważano w Europie za Egipcjan czy nawet za chrześcijańskich pokutników, ale już w XVIII wieku językoznawcy udowodnili, że ich język — „romani”, lub „romanes” — jest formą dialektu hinduskiego. W toku rozpoczętych w 1954 roku prac nad pierwszą gramatyką języka cygańskiego, prowadzonych wspólnie przez jugosłowiańskiego filologa, prof. Krume Kepeskiego i Cygana Szaipę Jusufa, ustalono 2 tysiące słów, które są prawie identyczne z słownictwem sanskryckim. Tak więc zamordowani w Oświęcimiu Cyganie byli — w sensie rasistowskich Ustaw Norymberskich — czystymi aryjczykami...

HEINRICH LEIPPE („DIE ZEIT”)

CYGANIE



Foto: R. Lucyszyn

Cyganów. Ich pamięci poświęcono jest pomnik, odsłonięty 1 sierpnia 1978 roku w Amsterdamie.

Na południowym odcinku frontu wschodniego na rozkaz Himmlera oddziały SS rozstrzelały tysiące Cyganów. Dużą część przedstawicieli tego narodu uległa likwidacji na terenie okupowanej Polski, na Bałkanach, zwłaszcza w Serbii, dziesiątki tysięcy Cyganów padło od kul plutonów egzekucyjnych Wehrmachtu. Kiedy papież Jan Paweł II podczas swej wizyty w Polsce nazwał Oświęcim „Golgotą współczesnego świata”, to słowa jego dotyczyły także martyrologii Cyganów. Los ich narodu na zawsze pozostał związany z przerażającym symbolem nazwy Auschwitz.

Cyganie nie posiadają piśmiennej, udokumentowanej historii, podobnie, jak język ich nie istnieje w formie pisanej; zarówno jedna jak i drugi od wieków przekazywane są ustnie z pokolenia na pokolenie. Ich legendy wspominają, że są oni potomkami mieszkańców Atlantyd... W ich podaniach mowa jest także niekiedy o klątwie, jaka spadła na nich w przeszłości, ponieważ to właśnie Cyganie mieli być tymi, którzy wykuli gwoździe, którymi Chrystusa przybito do krzyża, a jeden z ich przodków miał namówić Judasza do zdrady. Jak więc widać, tradycja cygańska przyswoiła sobie wiele z owych brzydkich pomówień, jakich nie żałowały temu narodowi chrześcijańskie społeczeństwa, wśród których żyją. Jednakże w owym mście o klątwie odzwierciedla się cały bezsens ich wędrowki: Cyganie nie mają już jasnej świadomości swego pochodzenia, zaś nigdy nie udało im się założyć nowej ojczyzny.

Gruntowny znawca problemu cygańskiego, Wolf In der Maur, doszukuje się w owej fa-

dycynie związana z określoną kastą. Cyganie zajmują się również handlem, ale handluja wyłącznie kołmi, uprzężą i drogiemi kamieniami — typowe czynności uprawiane w taborach wielkich hord azjatyckich.

In der Maur wysunął również przekonującą hipotezę dotyczącą związku między pochodzeniem Cyganów, a ich własną legendą o ciężkiej na nich klątwie. Według tej hipotezy, ojczyzna tego prymitywnego i znajdującego się na dość niskim szczeblu cywilizacji ludu, leżąca w Indiach Zachodnich, została w VIII i IX wieku naszej ery zagrożona przez napływające zewsząd grupy obcych ludów. Prosty i niewojowniczy lud (cecha właściwa wielu ludom indyjskim), który jednak nie chciał — czy nie mógł — podporządkować się obcym, narzuconym porządkom, opuścił w końcu ojczyznę — dobrowolnie, lub pod przymusem. Takie historyczne wydarzenia zawsze pozostawiają po sobie w świadomości narodu wspomnienie nieszcześcia, tragicznego fatum, a więc „klątwy”. Niezdolni do szybkiej asymilacji w nowym środowisku, byli wciąż na nowo przepędzani, wypierani, rozpraszeni, zmniejszała się ich liczebność i znaczenie, w coraz mniejszych grupkach posuwali się wciąż dalej na zachód — zgodnie z niepisany prawem wszystkich wędrownych ludów szli zawsze za słońcem. Ponieważ punktem wyjścia tej wędrowki były Indie i to ich część zachodnia, Cyganie szybko rozproszyli się po całym świecie.

O tym, że początki historii Cyganów sięgają przypuszczalnie ich istnienia jako niskiej kasty hinduskiej, można wnioskować także na podstawie faktu, że tak łatwo i chętnie zaakceptowali oni przydzieloną im przez narody europejskie rolę pogardzanego marginesu. O

Francuzi pytają coraz częściej. — Jak się miewa Napoleon? Nieorientowanemu pytanie to mogłoby się wydać wściekłe zagadkowe. Tym bardziej że w odpowiedzi słyszy się: — „Nap” ma się świetnie. Bo „Nap” to 20-frankowa złota mo-

włożyć do sejfów, wyjąć za lat dzieł, a czysty zysk na czystym złocie jest stu procentowy. Jeśli nie wyższy. Finansowi specje utrzymują, że we francuskiej poezji domowej spoczywa dziś pod poduszka 4.500 ton złota. Oblatani w świecie bankierzy

wych „Napoleonów”. Wszystkie one waga 3.000 ton najczystszej złota. Te pierwsze oryginalne „Napoleony” wypuścił na rynek Napoleon w 1803 roku. Noszą jego wizerunek. Po upadku monarchii w 1871 roku koronowane głowy zastąpił na monetach galijski kogut. Wielkie ilości nowych „Napoleonów” datowanych wstecznie opuściło francuską mennicę w latach 1951-56.

Podczas konferencji prasowej w kwietniu 1965 roku de Gaulle oświadczył:

— Złoto nigdy swych właściwości nie zmienia, jest wieczne, można je oddać w sztaby lub w monety, nie ma narodowości, wszędzie i zawsze ma wartość, wszędzie i zawsze darzone je zaufaniem.

To właśnie de Gaulle zaproponował Amerykanom, by swe zobowiązania względem Francji spłacili złotem. Waszyngton przystał na to z największą ochotą. Modne przecież było wówczas powiedzenie lorda Keynesa: — „Złoto to barbarzyński relikw”. Więc podziemia „fortu” w Knox zaczął opuszczać jeden wielki transport grubych sztab złota po drugim. Złoto ładowano niezwłocznie do samolotów „Alr France”. Wprawdzie Amerykanie dowodzili wówczas, że „dolar równie jest dobry jak złoto”, ale de Gaulle nie byłby Francuzem, by nie wiedzieć lepiej. Dziś Banque

de France ma w swych sejfach ponad 3 tysiące ton złota jako rezerwy i zabezpieczenie.

Zaraz po wojnie co bardziej znani ekonomiści o profesorskich tytułach dowodzili, że cena uncji złota nigdy nie przekroczy 100 dolarów. Po pewnym czasie przesunęli tę granicę do 200 dolarów. Jeszcze rok temu mówili, że 300 dolarów to już też najwyższa poprzeczka. I co? Ano to, że prosty chłop z Prowansji zrobił wszystkich tych profesorów w konia. Ponabijał ich w butelkę. Jak to się mówił pop swoje, chłop swoje. Francuzi kupowali złoto, kupowali „Napoleony”. Zdrowy rozsądek ich nie zawiodł. Jeszcze w 1972 r. płacono w Paryżu za „Napoleona” 82 franki. Dziś za tę przyjemność trzeba wybuścić 440.

Czemu więc szacunowi wlecy medrcy ekonomiczni uczelni wyszli na durnia?

Prawdopodobnie wiele na to złożyło się przyczyn. Bezrobocie na Zachodzie, galopująca inflacja, to są źródła wartości złota, jako ostatniej ostoi przed czasami, które okazać się mogą w przyszłości jeszcze gorsze. Złoto wykupują szejkwowie arabscy i greccy armatorzy, popyt na ten „barbarzyński metal” rośnie, więc cena iść w górę musi. Poza tym, jak się twierdzi, uległy zachwianiu dobre ongiś w kołach bankierskich obcza-

je i Londyn przestał być „złotym pepkiem” tego świata.

Ceremoniał nie ulegał n'gdy zmianie.

Przed południem w luksusowym gabinecie Spółki „Rothschild and Sons” w Londynie zbierało się pięciu wytwornych dzentelmenów. Po uprzejmej wymianie zdań robili „fixing”, to znaczy ustalali bieżącą cenę złota. Inne ośrodki finansowe tę cenę bez oporu przyjmowały do wiadomości. Krótka mowa londyńska „fixing” obowiązywała na wszystkich innych giełdach. Tak było, lecz już nie jest. Do głosu doszły „gnomy” z Zurychu. Silne ośrodki handlu złotem powstały w Nowym Jorku, w Chicago, także w Hongkongu. Londyn już o niczym nie decyduje. Stąd ów pozorny chaos na złotym rynku z wszystkimi tego chaosu konsekwencjami.

Bo w gruncie rzeczy obok spekulacji i tym rynkiem rządzą żelazne zasady popytu i podaży.

— Jak się czuje „Napoleon”?

— Świetnie, daj nam Boże wszystkim (cena uncji złota przekroczyła już 400 dolarów).

JAN BABIŃSKI

NAPOLEON MA SIĘ ŚWIETNIE

neta. Dziś za taką monetę trzeba wyłożyć 440 obiegowych franków, choć waży mniej niż 6 gramów. Ucieczka „w złoto” — mówią ekonomiści. Przejaw chłopskiego rozsądku — dowodzą socjologowie. Francuzi, naród nie w ciemnie bity. Trudno im niezmiernie mówić, że pieniądź papierowy tyle jest wart co ten z czystego złota. Na złocie nikt jeszcze nie stracił, słyszy się w Paryżu, złoto pęcznieje od samego leżenia. Starczy

dodają, że żaden naród na tym globie nie zgromadził w domowych schowkach tyle złota co Francuzi. Amerykanie odnoszą do banku średnio 5 procent swych zarobków, Niemcy z „Bundesrepublik” 12 procent, a Francuzi 18. Francuzi odkładają, po pewnym zaś czasie zamieniają papierowe franki w złote „Napoleony”, w złote sztabki, w złote obrączki. Na francuskim rynku znajduje się obecnie 400 milionów złotych 20-franko-

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedy Heydrich powitał mnie po raz pierwszy, byłem zdumiony brzmieniem jego głosu — był o wiele za wysoki, jak na tak wielką, silną postać. Podczas rozmowy ze mną Heydrich wstał i przez chwilę krążył po pokoju. Szerokie biodra nadawały jego wysokiej postaci pewien odcień kobiecości. A jego silnie wywiniete wargi wydawały mi się o sobliwym przeciwieństwem jego długich rąk, których palce wyglądały jak nogi pajaka.

Był styczeń 1938 roku. W tym czasie w Berlinie huczało od pogłoszek, że minister wojny Rzeszy, feldmarszałek von Blomberg, ma być zwolniony ze swojego stanowiska z powodu przesłuchania jego żony, a głównodowodzący wojskiem, generał broni, baron von Fritsch, ma być „doprowadzony do upadku” z powodu homoseksualizmu. Mówiono po cichu, że Heydrich prawdopodobnie maczał palce w intrydze uknutej przeciwko Fritschowi.

Sąd honorowy Wehrmachtu, któremu przewodniczył Goering, udowodnił „wprawdzie” szybko bezpodstawną oskarżenie i zrehabilitował Fritscha, jednakże Hitler wolał się z nim pożegnać i mianował na jego miejsce generała von Brauchitscha, który mu się bardziej podobał.

Między Heydrichem i Goeringiem już podczas posiedzenia sądu honorowego doszło do poważnej kontrowersji, tak, że Himmler spodziwiał się ostrej reakcji ze strony generalicji.

Przypadkowo byłem tu świadkiem jednego z przejawów okultystycznej manii Himmlera, w którą wciągał on nawet przywódców SS. Podczas posiedzenia sądu honorowego, rozpatrującego sprawę von Fritscha, Himmler skierował do pokoju znajdującego się w pobliżu izby przesłuchań około 12 swoich najbardziej zaufanych przywódców SS i rozkazał im, aby poprzez koncentrację woli wywarli sugestywny wpływ na obwinionego generała broni.

Himmler był przekonany, że pod wpływem tego, obwiniony musi mówić prawdę.

Przez omyłkę wszedłem wówczas na miejsce tych osobliwych ćwiczeń i byłem nie mniej zdumiony widokiem siedzącego w krag, pogrążonego w głębokim skupieniu kierownictwa SS.

Afera z von Fritschem rzuciła poważny cień na stosunek Himmlera do Heydricha. Himmler był polityczny całą sprawą i Heydrich całkowicie nastawił się na to, żeby zrehabilitować popełniony błąd.

Pewnego dnia Heydrich zauważył w rozmowie ze mną, że nadszedł czas, aby zezwolić zapewnić sobie lepsze informacje, między innymi zdobyć również więcej informacji na temat „prominentów” i zagranicznych gości.

Myśli on o tym, aby w wytwornej dzielnicy Berlina założyć wypielną, intymną restaurację z pięknymi kobietami. W takiej atmosferze człowiek jest bardziej skłonny niż gdziekolwiek indziej, do wyjawiania spraw, które mogą być ważnymi informacjami dla wywiadu. Rozmawiał on już na ten temat z Himmlerem i wydaje mi obecnie polecenie urządzenia takiego „salonu”.

Wynajęłem więc przez podastawienie człowieka odpowiedni dom. Jego przebudowa i urządzenie zostało powierzone najlepszym architektom. Potem przystąpili do dzieła techniczni specjaliści: podwójne ściany, nowoczesne aparaty podsluchowe i automatyczna transmisja dbały o to, aby każde wypowiedziane w tym „salonie” słowo zostało zarejestrowane i przekazane do kancelarii. Nadzorem technicznym zajmowali się zaprzęgnięci urzędnicy służby bezpieczeństwa, a personel domu od służącej aż po kelnera składał się z agentów wywiadu.

Po tych przygotowaniach miałem zabrać się do rozwiązania problemu „pięknymi pań”, nie uważałem jednak siebie za kompetentnego w tej sprawie. Za mnie zajął się tą sprawą Arthur Nebe, szef policji kryminalnej. Z wielkich miast Europy zwerbowano damy z półświatka, jednak również damy z tzw. „dobrego towarzystwa” były gotowe oddać się do dyspozycji. Heydrich nazwał tę instytucję „Salonem Kitty”.

„Salon Kitty” dostarczał

wspaniałe informacje. Mnie widzianą rybą, która wpadła w sieć, był między innymi minister spraw zagranicznych Rzeszy, Joachim von Ribbentrop; przychodził on dość często nie zdając sobie sprawy, kto przy tej zabawie usługuje. Jednym z najbardziej interesujących połowów wśród zagranicznych gości był ówczesny włoski minister spraw zagranicznych, hrabia Ciano, który podczas swojej wizyty w Berlinie wraz ze swoim dyplomatycznym sztabem bywał często w „Salonie Kitty”.

Nie dziwiło mnie, że również Heydrich od czasu do czasu pojawiał się w tym intymnym miejscu celem, jak on to nazywał, przeprowadzenia „inspekcji”. Przedtem jednak dawał mi wyraźny rozkaz, abym zatroszczył się o to, żeby cała techniczna aparatura została wyłączona.

Po jednej z takich „inspekcji” kazał on wezwać mnie do siebie i zarządził mi, że nie wypełniłem jego zarządzeń, aby wyłączyć aparaturę; poskarżył się już na to u Himmlera. Reichsfuehrer jest w najwyższym stopniu oburzony i żąda ode mnie w tej sprawie raportu. Mojego wyjaśnienia, że tego wieczoru aparatura nie mogła być wyłączona z powodu przekładania przewodów elektrycznych, Heydrich nie chciał przyjąć do wiadomości, podczas gdy Himmler natychmiast się nim zadowolił. Wydarzenie to było dla mnie pierwszym ostrzeżeniem, że odtąd również ja muszę mieć się na baczności przed Heydrichem.

Było to w lipcu 1940 roku, załatwiłem właśnie pocztę poranną, kiedy w telefonie rozległ się dzwiczny głos ministra spraw zagranicznych Rzeszy, Joachima von Ribbentropa: „Niech pan mi powie, mój drogi, czy nie mógłby pan natychmiast do mnie przyjść?”

Ribbentrop przyjął mnie z obliczem nacechowanym powagą i ostrożnie skierował rozmowę na właściwy temat — informował się o moich powiązaniach z Hiszpanią i Portugalią, i pytał, czy miałem również kontakty z policją w tych krajach. Następnie spytał mnie z nienacką: „Pan przecież przypomina sobie księcia Windsoru?”

Wśród wszystkich wybitnych Anglików księżę Windsoru, zdaniem Ribbentropa, był najbardziej sprawiedliwym i uczciwym człowiekiem; nie podobało się to kilku przedstawicielom najwyższych warstw w Londynie i ta cała sprawa z jego małżeństwem (poślubienie rozwiedzionej Amerykanki, Wallis Simpson) była tylko pożądaną okazją, aby doprowadzić do upadku tego szlachetnego i prawdziwego przyjaciela Niemiec.

„Fuehrer i ja — kontynuował Ribbentrop — przejeżdżaliśmy wówczas natychmiast, co się kryje za tymi intrygami i od tego czasu nasze przekonania się tylko umocniło”.

Czekałem w napięciu, aby się wyjaśniło, dokąd on właściwie zmierza. „Od czasu swojej abdykacji — dodał żywo Ribbentrop — księżę jest pilnie strzeżony przez Secret Service. Wiemy, że od tego czasu czuje się on jak więzień i wciąż próbuje uwolnić się od tych więzów, niestety jednak bezskutecznie”.

Teraz Ribbentrop zrobił przerwę i spojrzal na mnie znacząco. „Mamy informacje, że księżę rozważa możliwość uwolnienia się od tego szarpającego nerwy brzemienia; doniesiono nam również, że księżę jest nadal, tak jak dawniej, przychylnie ustosunkowany do Niemiec. Miał on nawet w małym gronie powieścić, że chce osiąść na stałe w Hiszpanii i nawiązać ponownie swoje dawne, przyjazne stosunki z Niemcami”.

Ribbentrop mówił z ożywieniem dalej: „Fuehrer sądzi, że księcia można byłoby w tym wypadku złożyć propozycję — może w taki sposób, że wyrazilibyśmy gotowość wyznaczenia mu z góry na dwadzieścia lat apanaży w wysokości do 50 mln franków szwajcarskich. Oczywiście tylko wówczas — dodał szybko Ribbentrop — jeżeli zgodził się on na to, aby jakimś gestem odciać się oficjalnie od intryg brytyjskiego dworu królewskiego. Mógłby wybrać sobie na miejsce zamieszkania jakiś neutralny

kraj, na przykład Szwajcarię. Musiałby być to w każdym bądź razie kraj, na który Hitler mógłby ewentualnie wywierać polityczny bądź gospodarczy nacisk. Gdyby natomiast księżę się wahał, byłoby celowe nieco mu w tym dopomóc, w razie potrzeby również przy użyciu siły. Rzecz jasna temu i jego żonie nie powinno się przy tym nie przytrafić.

Użycie siły odnosi się oczy-

wiście do zamieszkała i jaką książę jest otoczony ochroną. Następnego dnia otrzymałem szkie sytuacyjny i raport na temat przebiegu dnia w domu księcia jak i służby bezpieczeństwa, która składała się częściowo z portugalskiej policji, a częściowo z Anglików.

Z miejsca stało się dla mnie jasne, że mój punkt oparcia musi znaleźć się wśród ludzi z portugalskiej ochrony. A w

co doprowadziło do wywołania znacznego niepokoju i rozpoczęcia gorączkowego śledztwa. Kilka dni potem przyniesiono do domu księcia bukiet kwiatów z zamkniętą kopertą. W liście można było przeczytać: „Niech pan strzeże się przed intrygami Secret Service — portugalski przyjaciel, który dobrze panu życzy”.

Po czternastu dniach dotarł do mnie telegram podpisany przez Ribbentropa: „Fuehrer rozkazał, aby teraz zająć się przygotowaniem akcji uprowadzenia”.

W małej restauracji spotkałem się z jednym z portugalskich przyjaciół. Po to, aby moje vis a vis zajęło wyraźne stanowisko, poszedłem po prostu na całego: „Pojutrze muszę przeprowadzić księcia Windsoru przez granicę hiszpańską. Czy mogę liczyć na pana pomoc?” Mój przyjaciel spojrzal na mnie osłupiały i potrząsnął głową. Wreszcie powiedział: „Beze mnie. Nie mogę za to brać odpowiedzialności”.

Omówiliśmy więc plan, jak zademontrować na zewnątrz niemożliwość realizacji polecenia uprowadzenia księcia, a ja mógłbym przekazać odpowiednie raporty do Berlina.

Następnego ranka ekipa portugalskiej ochrony została poważnie wzmocniona — ponad 20 policjantów ustawiono się przed domem księcia. Również wewnętrzna służba ochrony, złożona z Anglików, została wprawiona w ruch za pomocą mojego przyjaciela. Zobowiązałem ten temat długi raport dla Berlina i prosiłem o przekazanie mi instrukcji, jak działać w tych warunkach i czy w razie potrzeby nie powinno się użyć broni. Po dwóch dniach przyszła odpowiedź: „Ma pan podejmować swoje decyzje zgodnie ze stanem rzeczy”.

Tymczasem zbliżał się termin odjazdu księcia na wyspę Bahama. Z Londynu przybył już szefowiec przedstawiciel Secret Service, Walter Monckton, rzekomo po to, aby sprowadzić jak najszybciej odjazd księcia.

Kazałem puścić pogłoskę, że na kilka godzin przed ustalonym terminem odjazdu eksploduje na parowcu bomba zegarowa. Policja portugalska przechyliła natychmiast tę pogłoskę, za pomocą której, zgodnie z intencją Secret Service, pomogłem jeszcze nieco praktycznie w przyspieszeniu odjazdu księcia i zaczęła gorączkowo prowadzić na statku poszukiwania za tak niebezpiecznym przedmiotem. Na księcia i jego żonę nie wywarło żadnego wrażenia.

Z budynku niemieckiego poselstwa obserwowałem przez lornetkę stojące w porcie na kotwicy statki i widziałem, jak para księżca w towarzystwie sir Waltera Moncktona punktualnie i spokojnie weszła na pokład.

I tak zakończyła się moja pamiętna misja.

Musiłem teraz jeszcze usprawiedliwić się w Berlinie. Ribbentrop kazał mi, po przyjeździe do Berlina, natychmiast zatelefonować, w krótkich słowach zażądał ode mnie sprawozdania.

Kiedy skończyłem — w dziwny sposób, całkowicie wbrew jego dawnym zwyczajom, nie przerwał mi ani razu — Ribbentrop spoglądał przez chwilę na swoje biurko, a potem powiedział zrezygnowanym głosem: „Fuehrer przeczytał wszystkie pana telegramy. Mam panu teraz na jego polecenie zakomunikować, że mimo jego rozczarowania zakończeniem sprawy zgadza się z podjętymi przez pana decyzjami i je aprobuje”.

W czerwcu 1941 roku udało mi się wreszcie przejąć sprawę politycznego wywiadu zagranicznego (Urząd VI). W ten sposób osiągnąłem cel, o którym od początku marzyłem.

Nie bez dumy wkroczyłem do swojego przyszłego gabinetu, wyposażonego we wszystkie możliwe udoskonalenia techniczne. Obok dużego biurka znajdował się przesuwany stół na kółkach, na którym stały liczne telefony i mikrofony. W boazerii, biurko i lampę były wbudowane niewidoczne aparaty podsluchowe, automatycznie odbierające i rejestrujące każdą rozmowę i każdy szmer.

Uwagę wchodzącego do pokoju zwracała drobna drucziana siatka na oknach; był to elektryczny system alarmowy, który włączałem wieczorem

przed opuszczeniem biura i który zabezpieczał wszystkie okna, szafy pancerne oraz różne wyjścia do pomieszczeń biurowych. Wystarczyło się tylko zbliżyć do tych pomieszczeń, zabezpieczonych fotokomórkami selenowymi, aby automatycznie wywołać ogólny alarm, który w ciągu paru sekund sprowadzał na miejsce załogę wartowniczą.

Samo moje biurko było małą twierdzą: były w nie wbudowane dwa pistolety maszynowe, z których można było zasypać kulami cały pokój. Otwarcie drzwi automatycznie powodowało nakierowanie luf na wchodzącą osobę. W razie niebezpieczeństwa wystarczyło mi tylko nacisnąć guzik, aby uruchomić pistolety.

Kiedy udawałem się z jakąś misją za granicę, musiałem, zgodnie z rozkazem, wstawić sobie sztuczny ząb, w którym znajdowała się dostateczna ilość cyjanku, abym w ciągu 30 sekund znalazł się poza zasięgiem ręki wroga. Oprócz tego nosiłem sygnet z dużym błękitnym kamieniem, pod którym umieszczona była druga kapsułka z cyjankiem.

Wczesną jesienią 1941 roku pojechałem do Sztokholmu. Już wkrótce otrzymałem alarmujący meldunek, że Stalin jeszcze tej samej zimy (1941 r.) zamierza rozpocząć decydującą kontrofensywę. Stan pogody bardzo sprzyjał jego planom, a dywizje, które miały brać udział w zimowych walkach, odznaczały się szczególnie wysokim morale bojowym.

W meldunkach wymieniano również teren rozpoczęcia uderzenia, mianowicie rejon Moskwy (do którego zbliżała się czołówka naszych atakujących wojsk) i podawano, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa użyte zostaną oddziały syberyjskie.

Zaraz po moim powrocie ze Szwecji Heydrich wezwał mnie do siebie. Był zdumiewająco uprzejmy i zaprosił mnie na kolację do siebie do domu. Gdy wstaliśmy od stołu, wyjął mały notes i najpierw poinformował mnie szczegółowo o powierzeniu Rosenbergowi spraw ministerstwa Wschodu (Ostministerium) i o wynikach konferencji z 16 lipca 1941 roku, na której ustalono zasady przyszłej polityki wobec Rosji Radzieckiej.

To, co powiedział Heydrich, uzmysłowiło mi systematyczność, z jaką Hitler zamierzał prowadzić politykę ujarzmania „rosyjskich podludzi”. Heydrich powiedział dosłownie: „Na wschodzie jak najszybciej ma być stworzony silny system wywiadowczy. System ten musi pracować tak dokładnie i w sposób tak ciągły, aby — wszystko jedno, w jakiej części Związku Radzieckiego — nigdy już nie mogła wyrosnąć taka osobowość przywódcza, jak Stalin. Groźne są nie masy narodu rosyjskiego, lecz właściwa im siła wydawania spośród siebie takich osobowości, które ze swej strony, dzięki znajomości duszy mas ludowych, potrafią pociągnąć je za sobą”.

Dalej Heydrich powiedział: „Zrezygnowałem ze swego pierwotnego planu wysłania pana na przejściowo na front wschodni. Jest mi pan teraz nieodzowny w Berlinie. (Heydrich już wówczas groził mi, że mnie odkomentuje do któregoś z jednostek na wschodzie). Poinformowałem zresztą Himmlera o tym zamiarze i byłem zdumiony, jak kwaśno na to zareagował. Wydaje się, że wyraźnie pana proteguje, ponieważ zastrzegł sobie osobistą decyzję w sprawach jakichkolwiek zmian, dotyczących pana osoby. Chciałbym wiedzieć, jak pan tego dokonał”.

Na szkolenie nowych agentów potrzebowałem dodatkowych 30 milionów marek. Himmler wezwał mnie do siebie i razem ze mną, stroną po stronie, zbadał moje propozycje.

Typowe dlań było, że zawsze po kramarsku wtykał nos w nieistotne drobiazgi. Udzielał przy tym wielu, bardzo poważnie traktowanych rad; zalecił mi np., żebym wieczorem zawsze zjadł gorący posiłek. „Raz na zawsze wypraszam sobie ten północnoniemiecki obyczaj, żeby wieczorem podawać na stół chleb i wędlinę, a nawet ser, a do tego jeszcze coś zimnego do picia”. Dodał jeszcze w formie wyjaśnienia, że taki sposób odżywiania się nie daje siły i powoduje wiele chorób żołądka. Przede wszystkim jednak należy zachowywać jak najciszejszą abstynencję, jeśli chodzi o palenie i picie. „Ludzie, u których zauważyłem pan zażółcone palce, nie nadają się do takiej służby, bo nie umieją panować nad sobą”.

Pamiętniki Schellenberga



Rys. Janusz Szymański-Glanc

wieście w pierwszym rzędzie do Secret Service — mówił Ribbentrop dalej — do księcia tylko wówczas, gdyby w wypadku wątpliwości i niezdeterminowania potrzebował stanowczej pomocy”.

Ribbentrop zatrzymał się przede mną i spojrzal na mnie z powagą. „Wydaje panu niemiłe, gdyby w wypadku wątpliwości i niezdeterminowania potrzebował stanowczej pomocy”.

Ribbentrop zatrzymał się przede mną i spojrzal na mnie z powagą. „Wydaje panu niemiłe, gdyby w wypadku wątpliwości i niezdeterminowania potrzebował stanowczej pomocy”.

Dwa dni później poleciałem przez Lyon i Marsylię do Madrytu. Stolica Hiszpanii była wówczas jednym z najważniejszych miejsc działalności niemieckiego wywiadu.

Z Lizbony nie nadeszła jednak żadna wiadomość dla mnie. Wyglądało na to, że księżę Windsoru nie spieszy się ze swoją wyprawą na polowanie do Hiszpanii. Dowiedziałem się, że chce on raczej udać się statkiem na Bahamy. Liczyłem się już nawet z tym, że cała historia się rozegrzeje. Przedtem jednak chciałem się na miejscu co do tego upewnić. Pojechałem do Lizbony.

W Lizbonie odwiedziłem jednego z japońskich przyjaciół, który mi już wysłuchał dobre usługi z okazji innej szpiegowskiej akcji. Obiecał on mi też natychmiast, że wystara się o dokładny plan sytuacyjny domu księcia w Estoril — z podaniem liczby wejść, szczegółami na temat służby, informacją na temat tego, które

typ przypadku mogli mi pomóc tylko miejscowi przyjaciele i pieniądze.

Już po dwóch dniach udało mi się zastąpić portugalskich policjantów własnymi, godnymi zaufania ludźmi oraz rozciągnąć wokół mieszkania księcia gęstą sieć wywiadu.

Po krótkim czasie nie było już w domu księcia wydarzeń czy prowadzonej przy stole rozmowy, o których nie przeczytałbym wieczorem w odpowiednim sprawozdaniu. Dla kontroli podłączyłem się do innego źródła informacji, prowadzącego do wyższych warstw portugalskiego „towarzystwa i otrzymywałem stąd dalsze informacje na temat wypowiedzi księcia.

Uzyskałem następujące ogólne wrażenie: wyglądało na to, że księżę rzeczywiście zrezygnował z planowanej wyprawy na polowanie. Natomiast nadal robił uwagi na temat uciążliwej ochrony jego osoby. O ewentualnym zamiarze odwiedzenia innego kraju bez zgody rządu angielskiego nie było jednak mowy.

W przeciwieństwie do tego raporty zgodnie wskazywały na niepewny stan zdrowia księcia. I w tym dostrzegłem możliwość rozbudzenia jego awersji do ochrony ze strony Secret Service. Musiałem ostatecznie coś zrobić, żeby zachować twarz wobec Berlina. Pomógł mi wyższy urzędnik policji portugalskiej, który oświadczył księciu, że otrzymał ostrzeżenia, które powodują konieczność wzmocnienia ochrony jego osoby przez policję portugalską.

Aby podkreślić prawdziwość tej pogłoski kazałem tej samej nocy wrzucić przez okno kilka kamieni do domu księcia,

Zwycięstwo konserwatystów w wyborach parlamentarnych 3 maja wyraźnie zastrzyło sprężystość klasowe w Anglii. Zaraz w pierwszym budżecie nowy gabinet ministrów obiecał o miliard funtów szterlingów asygnacje państwowe na oświatę, lecznictwo i inne potrzeby społeczne. Torysi zmniejszyli podatek dochodowy, zwiększając jednocześnie podatki na towary pierwszej potrzeby. Decyzje te podjęte w interesie klas posiadających uderzyły w budżety domowe przeciętnych angielskich rodzin. Taka polityka, prowadząca do zaostrenia problemów bezrobocia i wzrostu tempa inflacji, wzbudza niezadowolenie coraz szerszych kręgów mieszkańców Wielkiej Brytanii.

Tymczasem „młodowy miesiąc” Margaret Thatcher z brytyjskimi wyborcami zakończyły zgrzyty. Badania opinii publicznej wskazują, że gdyby dziś odbyły się w Anglii wybory parlamentarne, partia laburzystowska otrzymałaby niewątpliwie większość głosów. Czym wyjaśnić taką zmianę nastrojów? Można odpowiedzieć na to pytanie bez specjalnych trudności po zapoznaniu się z enuncjacjami brytyjskich działaczy politycznych i społecznych oraz treścią komentarzy prasowych. Przede wszystkim torysi prowadzą politykę konserwatywną, której następstwa odczuwa na sobie nader boleśnie bardzo wielu Brytyjczyków. Od początku rząd przyjął program

mu kapitalowi stwarza nowe możliwości zgarniania zysków. Szereg wielkich koncernów należących do państwa, które słyną z wysokich dochodów, w konsekwencji odsprzedania akcji znalazły się częściowo w rękach międzynarodowych magnatów. I tak na przykład rzucił się na rynek akcje „British Petroleum”, „British Aerospace” i „British Airways”.

Żeby nic nie stało na przeszkodzie realizacji tych planów, rząd opracowuje nowe ustawodawstwo antyzwiązkowe. Ma ono wziąć pod swoją kontrolę wybory związkowe, zmierza do zmiany reguły „zamkniętej hali fabrycznej”, zgodnie z którą przedsiębiorcy są zobowiązani do przyjmowania do pracy w pierwszej kolejności członków danego związku oraz ma ograniczyć prawo pikietowania przedsiębiorstw. Rząd zamierza narzucić związkom razim, który by zobowiązywał wszystkich członków związku zawodowego w danym przedsiębiorstwie — przed oficjalnym ogłoszeniem strajku — do tajnego przegłosowania strajku: „za” lub „przeciw”. (Obecnie decyzję taką podejmuje się po jawnym głosowaniu — red.). Liderzy torysów próbują także wykluczyć możliwość okazywania pomocy materialnej rodzinom strajkujących robotników. Wszystko to odpowiada programowi konserwatystów, ukierunkowanemu na „uzdrowienie” brytyjskiej e-

konomiki drogą stworzenia przywilejów prywatnym przedsiębiorcom i zrzucenia całego ciężaru skutków tej polityki ekonomicznej na barki robotników, urzędników i rencistów. Wywołało to burzę niezadowolenia, przede wszystkim wśród szeregowych członków związków zawodowych.

Partia laburzystowska nie jest dziś zdolna do opracowania jakiegokolwiek konstruktywnej strategii przeciwdziałania polityce konserwatystów. Torysi korzystają z tego, że większość laburzystowskiej frakcji w Izbie Gmin „pod wodzą” J. Callaghana jest zaabsorbowana nie opracowywaniem alternatywnego programu, lecz obsesyjną myślą, jak odparować krytykę członków własnej partii. Na razie laburzyści są bierni, a konserwatyści nie tracą czasu i zgłaszają wciąż nowe projekty rządowe, napawając niepokojem ludzi pracy. Na przykład od czasu, kiedy rozpoczęto wydobywanie ropy naftowej z szelfu Morza Północnego, państwowa kompania „British Gas” zmniejszyła liczbę robotników i urzędników ze 150 tysięcy do 100 tysięcy, podczas gdy jej zyski wzrosły ze 180 do 360 milionów funtów szterlingów.

Niemniej, minister energetyki, David Howell, dopiero co oświadczył, że opłaty za gaz ziemny zostaną zwiększone, chociaż w czerwcu tego roku jego cena już podskoczyła o 8 procent. Zwykle te, w granicach od 10 do 20 proc. zaplanowano na kwiecień 1980 roku. Zostaną także zwiększone opłaty pocztowe. Wszystko to prowadzi do spadku popularności rządu M. Thatcher.

W swoim programie rządowym torysi obiecywali okiełznać inflację, stymulować wydajność pracy i zwiększyć produkcję. Ogólnie rzecz biorąc cele te spotykają się z poparciem, ale żółwie tempo realizacji tych obietnic i dogmatyzm premiera rządu Wielkiej Brytanii M. Thatcher, w obliczu nieoczekiwanych trudności, wzbudzają silne opory. Krytycy wyrażają obawy, iż nieliczenie się z realnymi trudnościami doprowadzi do dalszego wzrostu inflacji i pogłębienia ekonomicznego spadku. Jednym z głównych powodów niezadowolenia mas pracujących jest to, że M. Thatcher stymuluje w rzeczywistości wzrost inflacji, którą obiecała zmniejszyć.

Ale w Anglii nauczyły się utrzymywać przy władzy nawet najbardziej niepopularne rządy. Wyjątek stanowił gabinet Edwarda Heatha, który upadł, ponosząc klęskę nie w parlamencie, lecz w bezadzielną walce ze związkami zawodowymi. Gabinet M. Thatcher utrzymuje się jeszcze dlatego, że kierownictwo partii laburzystowskiej zdyskredytowało się w oczach mas, występując częstokroć przeciwko związkom zawodowym.

Z PRASY

Tracąc po irańskiej rewolucji oparcie w szachu, sultan rzucił się w ramiona Sadata. Rozmieszczone w Omanie egipski korpus wojskowy nie lowi tam ryb i nie opala się na plażach. I bynajmniej nie w celach towarzyskich przybyła tu w końcu września amerykańska misja wojskowa, która w przeciągu trzech miesięcy oceni bezpośrednio „potrzeby w zakresie bezpieczeństwa sultanatu”. Rewanżując się za tę troskliwość, Kabus nie tylko wyraził zgodę na zastalowanie amerykańskiej bazy wojskowej na Półwyspie Masira, ale nawet wysłał swoich emisariuszy do szeregu państw Zatoki Perskiej z misją nakłonienia ich do przyłączenia się do bloku.

Narodziny projektu wspólnej obrony cieśniny Ormuz i

zamknięcia dostępu do Zatoki Perskiej poprzedziło szerokie przygotowanie psychologiczne. Najpierw CIA opublikowała „naukowy” raport, w którym mowa, iż za kilka lat Związek Radziecki wyzerpie swoje zasoby nafty. Następnie prasa na Zachodzie wyłogła z raportu zamierzone wnioski: Moskwie nie pozostanie nic innego, jak tylko uzyskać dostęp do bliskowschodnich pól naftowych.

W tej sytuacji uciekanie się ona nieuchronnie do użycia siły militarnej. Dlatego też państwa tej strefy powinny się zjednoczyć i uzbroić, żeby uratować swoje kraje i przy sposobności także zachodnią cywilizację. Puszczono też w obieg plotkę o przygotowywanym rzekomo napadzie palestyńskich terrorystów na tankowce, żeby zablokować Cieśninę Ormuz, którą przepływa codziennie około 100 zbiornikowców transportujących naftę do krajów Zachodu.

Po takim przygotowaniu wypuszczono na scenę Kabus. Jednocześnie, jak poinformował jeden z dzienników izraelskich, „Jediot Achronot”, rząd Izraela wyraził gotowość włączenia do działań w strefie Zatoki Perskiej znajdującej się w jego dyspozycji amerykańskiej techniki wojskowej, głównie dlatego, żeby formowanemu w USA „korpusowi błyskawicznego działania” nie trzeba było jej dostarczać z oceanu. Podobne informacje zwiększyły tylko zaniepokojenie krajów Zatoki Perskiej, które i bez tego z rezerwą przyjęły pomysł stworzenia nowego bloku wojskowego. Oto, jak ocenił ten zamiar komentator polityczny kuwejckiej gazety „al-Bal al-Aam”: „Strefa Zatoki Perskiej nie potrzebuje żadnej ochrony obcych państw. Wprost przeciwnie, jej bezpieczeństwo jest realnie zagrożone przez takich obrońców, jak USA i Anglia. W rzeczywistości państwom Zatoki Perskiej proponuje się wyrażenie zgody na okupację ich terytoriów opłacaną ją z własnej kieszeni...”

A.S.

„REORIENTACJA EKONOMIKI” W DUCHU TORYSÓW

podatkowy, przewidujący zredukowanie podatku dochodowego, na czym zyskali tylko ludzie z większymi dochodami, podczas gdy jednocześnie podwyższenie podatków pośrednich dla ciężarom na barkach szeregowych obywateli. Później nastąpiło podwyższenie uposażeń dyrektorów kompanii państwowych o 30 proc. i więcej. Po tym rząd zmierzył się do obcięcia niektórych pozycji budżetowych pod hasłem „reorientacji ekonomiki”. Jeden z przywódców Brytyjskiego Kongresu Związków Zawodowych, David Bachet, uważa, że decyzja ta spowoduje ogromne szkody społeczne, masowe bezrobocie i ogólny spadek efektywności handlowej, co z kolei może połączyć za sobą fatalne skutki dla całej ekonomiki brytyjskiej.

Istotnie, „reorientacja ekonomiki” w duchu torysów przewiduje obcięcie o 10 proc. asygnacji dla przedsiębiorstw państwowych, co w praktyce oznacza, iż lokalnym organom władzy będzie się przydzielać znacznie mniej środków (nie jest tym objęty centralny aparat państwowy — red.). M. Thatcher stawia w ten sposób władze miejskie przed wyborem: albo podwyższyć lokalne podatki, orzede wszystkim za mieszkania, albo zwalniać z pracy — nauczycieli, pracowników służb komunalnych, pracowników przedsiębiorstw państwowych i in. Poza tym władzom municipalnym zezwala się, że względem ekonomicznych, skreślając ze swoich budżetów wydatki na śniadania dla uczniów, na utrzymanie autobusów dowożących dzieci do szkół, a także wprowadzać opłaty za korzystanie z bibliotek publicznych, tak niezwykle popularnych w Anglii.

Ponadto lokalne organa władzy będą zmuszone sprzedawać mieszkania pochodzące z fundacji miejskiej (o wiele tańsze od prywatnych — red.), co pozbawia władze miejskie możliwości podejmowania jakiegokolwiek decyzji w sprawie rozwiązywania problemów mieszkaniowych, i bez tego już wyjątkowo trudnych. Zredukowanie wydatków państwowych, przewidziane na ten rok, wyraża się sumą 4—5 miliardów funtów szterlingów. Cięż dokonywać się nie tylko w dziale subsydiów dla lokalnych organów władzy, lecz opracowuje się również program „zmnieszczenia wydatków” w znacjonalizowanym sektorze przemysłu. Przede wszystkim, jak powiedział minister przemysłu A. Butler, stocznice, które teraz otrzymują dotacje rządowe, po 1981 roku będą musiały liczyć wyłącznie na własne siły. Jeśli okaza się słabe — powiedział minister — zostaną zamknięte.

Nawet konserwatywny dziennik „Daily Express” przyznaje, iż w praktyce doprowadzi to do sytuacji, w której ponad 8 tysięcy pracowników przemysłu stocznicy straci pracę. Tymczasem rząd zamierza za wszelką cenę uratować stocznice: „Vickersa”, „Garrowsa” i „Vosper”, które produkują okręty na zamówienie marynarki wojennej.

Program rządu M. Thatcher „obcięcie” krajowi dalsze zmniejszenie miejsc pracy, natomiast zagraniczne-

konomiki drogą stworzenia przywilejów prywatnym przedsiębiorcom i zrzucenia całego ciężaru skutków tej polityki ekonomicznej na barki robotników, urzędników i rencistów. Wywołało to burzę niezadowolenia, przede wszystkim wśród szeregowych członków związków zawodowych.

Partia laburzystowska nie jest dziś zdolna do opracowania jakiegokolwiek konstruktywnej strategii przeciwdziałania polityce konserwatystów. Torysi korzystają z tego, że większość laburzystowskiej frakcji w Izbie Gmin „pod wodzą” J. Callaghana jest zaabsorbowana nie opracowywaniem alternatywnego programu, lecz obsesyjną myślą, jak odparować krytykę członków własnej partii. Na razie laburzyści są bierni, a konserwatyści nie tracą czasu i zgłaszają wciąż nowe projekty rządowe, napawając niepokojem ludzi pracy. Na przykład od czasu, kiedy rozpoczęto wydobywanie ropy naftowej z szelfu Morza Północnego, państwowa kompania „British Gas” zmniejszyła liczbę robotników i urzędników ze 150 tysięcy do 100 tysięcy, podczas gdy jej zyski wzrosły ze 180 do 360 milionów funtów szterlingów.

Niemniej, minister energetyki, David Howell, dopiero co oświadczył, że opłaty za gaz ziemny zostaną zwiększone, chociaż w czerwcu tego roku jego cena już podskoczyła o 8 procent. Zwykle te, w granicach od 10 do 20 proc. zaplanowano na kwiecień 1980 roku. Zostaną także zwiększone opłaty pocztowe. Wszystko to prowadzi do spadku popularności rządu M. Thatcher.

W swoim programie rządowym torysi obiecywali okiełznać inflację, stymulować wydajność pracy i zwiększyć produkcję. Ogólnie rzecz biorąc cele te spotykają się z poparciem, ale żółwie tempo realizacji tych obietnic i dogmatyzm premiera rządu Wielkiej Brytanii M. Thatcher, w obliczu nieoczekiwanych trudności, wzbudzają silne opory. Krytycy wyrażają obawy, iż nieliczenie się z realnymi trudnościami doprowadzi do dalszego wzrostu inflacji i pogłębienia ekonomicznego spadku. Jednym z głównych powodów niezadowolenia mas pracujących jest to, że M. Thatcher stymuluje w rzeczywistości wzrost inflacji, którą obiecała zmniejszyć.

Ale w Anglii nauczyły się utrzymywać przy władzy nawet najbardziej niepopularne rządy. Wyjątek stanowił gabinet Edwarda Heatha, który upadł, ponosząc klęskę nie w parlamencie, lecz w bezadzielną walce ze związkami zawodowymi. Gabinet M. Thatcher utrzymuje się jeszcze dlatego, że kierownictwo partii laburzystowskiej zdyskredytowało się w oczach mas, występując częstokroć przeciwko związkom zawodowym.

JERZY CZECH

Nowa radziecka inicjatywa rozbrojenia, którą omawialiśmy na tym miejscu, jest wciąż przedmiotem żywego zainteresowania. Wypowiadają się o niej politycy, komentują publicyści... Polska, prowadząca przeciwko aktywnej polityce pokoju wspiera ją jak najlepiej. Mówi o tym na XVI Plenum KC PZPR, które ustaliło termin VIII Zjazdu partii i przyjęło projekt wytycznych, Edward Gierek: „Z szerokim oddźwiękiem w całym naszym społeczeństwie spotkały się nowe propozycje, jakie... sformułował w swym berlińskim wystąpieniu sekretarz generalny KC KPZR, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR — towarzysz Leonid Breżniew. Propozycje te, konsultowane z nami, stanowią wyraz dobrej woli oraz nowy kolejny przejaw konsekwentnej i dynamicznej polityki pokoju

kolejny, wyższy etap — z wszystkimi tego następstwami. Jak widać choćby z tych przykładów, Zachód świadom jest wagi nowych radzieckich propozycji.

O rozbrojeniu wiele mówiono w toku właśnie zakończonej debaty generalnej na XXXIV sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. W ciągu trzech tygodni przez trybunę ONZ przemówili przedstawiciele 143 państw, a w tej liczbie 15 szefów państw i rządów, 120 ministrów spraw zagranicznych oraz papież Jan Paweł II. Stenogram sesji, jak informuje polski korespondent w Nowym Jorku, będzie zawierał ponad 2 tysiące stron a mimo to jego treść zostanie na pewno bardzo uważnie przeanalizowana. Głównymi tematami debaty, co zresztą przewidywano, były: potrzeba umocnienia pokoju i między-

narodowego bezpieczeństwa, powstrzymanie wyścigu zbrojeń i skuteczność negocjacji rozbrojeniowych, aktualne konflikty, a przede wszystkim sytuacja na Bliskim Wschodzie, kryzys paliwowo-energetyczny oraz prawa człowieka.

W zasadniczym zagadnieniu: kierunkach rozbrojenia, „wiodącą rolę” spełnił znów Związek Radziecki i inne państwa socjalistycznej wspólnoty. Za zdecydowanie pozytywne zjawisko powszechnie uznano zawarcie radziecko-amerykańskiego układu na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych — SALT II. Kilku mówców podkreślało potrzebę szybkiego podjęcia tej drogi m.in. po to aby doprowadzić do redukcji arsenałów broni nuklearnej.

Jak już powiedzieliśmy, dużo miejsca zajęła w debacie sytuacja bliskowschodnia. Jej rysem charakterystycznym było przekonanie większości o konieczności powszechnego uznania Organizacji Wyzwolenia Palestyny jako reprezentanta narodu

KRONIKA TYGODNIA

Związku Radzieckiego i całej wspólnoty państw socjalistycznych.”

I dalej: „Spodziewamy się, że państwa zachodnie w poczuciu swej współodpowiedzialności za pokoiową przyszłość świata, zajmą wobec tych propozycji takie stanowisko, które będzie służyło powstrzymaniu wyścigu zbrojeń i wejściu na drogę rozbrojenia...”

Dozwolone w ostatnich dniach pisze się na Zachodzie o listach L. Breżniewa do przywódców państw NATO, wyrażających tę cenną inicjatywę. Jest to — zdaniem komentatorów — przejaw wielkiego wysiłku, jaki podejmuje ZSRR, aby uzyskać pozytywne odzew. AFP stwierdza np., że Związek Radziecki zatracował „ofensywe w wielkim stylu” w celu przeciwdziałania się rozmieszczeniu w Europie Zachodniej nowych nuklearnych rakiet taktycznych. Inna agencja pisze, iż „realizacja programu modernizacji nuklearnego potencjału paktu NATO w Europie Zachodniej” musiałaby wprowadzić zbrojenia na

narodowego bezpieczeństwa, powstrzymanie wyścigu zbrojeń i skuteczność negocjacji rozbrojeniowych, aktualne konflikty, a przede wszystkim sytuacja na Bliskim Wschodzie, kryzys paliwowo-energetyczny oraz prawa człowieka.

W zasadniczym zagadnieniu: kierunkach rozbrojenia, „wiodącą rolę” spełnił znów Związek Radziecki i inne państwa socjalistycznej wspólnoty. Za zdecydowanie pozytywne zjawisko powszechnie uznano zawarcie radziecko-amerykańskiego układu na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych — SALT II. Kilku mówców podkreślało potrzebę szybkiego podjęcia tej drogi m.in. po to aby doprowadzić do redukcji arsenałów broni nuklearnej.

Jak już powiedzieliśmy, dużo miejsca zajęła w debacie sytuacja bliskowschodnia. Jej rysem charakterystycznym było przekonanie większości o konieczności powszechnego uznania Organizacji Wyzwolenia Palestyny jako reprezentanta narodu

POLSKA W ŚWIECIE

Na XV Biennale Sztuki Współczesnej w Sao Paulo z bardzo wysoką oceną spotkała się polska ekspozycja, zadasza tkaniny Magdaleny Abakanowicz, a także prace Tadeusza Kulskiego, Franciszka Starowieyskiego, Waldemara Świrskiego i Henryka Tomaszewskiego — artystów, którzy otrzymali główne nagrody na tej imprezie w latach ubiegłych; zainteresowanie wzbudziły również zgłoszone w dziale propozycji obrazu Zbigniewa Dłubaka i kompozycje przestrzenne Józefa Sajny.

Główną nagrodę — „Prix Danube” zdobył film animowany reż. Ryszarda Szymczaka wg. scenariusza Macieja Ziemińskiego — pt. „Koi” na Międzynarodowym Festiwalu Programów Telewizyjnych dla dzieci i młodzieży w Bratysławie; wyróżnienie otrzymał nowy program TVP dla dzieci — „Kameleon” reż. Barbary Borys-Damięckiej, wg. scenariusza Jadwigi Jasny i Elżbiety Zaleskiej.

Na XXXI Międzynarodowych Targach Książki w Frankfurtu n/Menam ponad 1000 tytułów złożyło się na polską ekspozycję; wartość zawartych transakcji przez „Ars Polona” obejmujących eksport oraz przekłady polskich książek przekroczyła milion dolarów.

Na odbywającym się w Belgradzie międzynarodowym festiwalu muzycznym „Bemus” wystąpiła orkiestra Filharmonii Krakowskiej pod dyrekcją Wojciecha Michniewskiego, z udziałem altowiolisty Stefana Kamasy; program wypełniły dzieła muzyki polskiej.

W stolicy NRD otwarto wystawę malarstwa łódzkiego artysty Benona Liberskiego, który prezentuje 30 obrazów.

„Zmory” Wojciecha Marcewskiego zainaugurowały XXVIII Międzynarodowy Tydzień Filmowy w Mannheim.

W Muzeum Sztuki Współczesnej w Chicago otwarto wystawę pn. „Fotografia polska 1939—1979”, eksponowaną poprzednio w Nowym Jorku.

W Duesseldorfe czynna była ekspozycja malarstwa Romualda Klajbora.

Na Międzynarodowym Konkursie Filmu Nieprofesjonalnego w fińskim mieście Turku brązowy medal zdobył utwór Janusza Kredożyńskiego z amatorskiego klubu „Jawornik” w woj. łęczyckim — „Niedzielną sukienka”.

Ekspozowane w Warszawie i Krakowie trzy wystawy malarskie zamykają tegoroczne prezentacje prac polonijnych artystów plastyków działających na różnych kontynentach. Był to zarazem kolejny sezon interesującej akcji prowadzonej przez Towarzystwo „Polonia” wspólnie z TPSP i innymi stowarzyszeniami kulturalnymi, służącej rozwojowi kontaktów artystycznych środowisk polonijnych i krajowych oraz przybliżeniu dorobku naszych rodaków w różnych dziedzinach sztuki pięknych.

Do najbardziej interesujących wystaw należała prezentacja osiągnięć malarzy, grafików i rzeźbiarzy, skupionych w Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym działającym na terenie Czechosłowacji.

Szczególne licznie zaprezentowali się w tym roku twórcy z kontynentu amerykańskiego. Swe obrazy na indywidualnych wystawach przedstawili: Anna Zarnicka z Meksyku i — już po raz drugi — Zygmunt Kowalski z Argentyny, wierny swej fascynacji przymotem poludniowoamerykańską, Ciekawe tkaniny, nawiązujące do wątków sztuki Indian,

Wystawy artystów polskiego pochodzenia, którzy często osiągnęli liczącą się pozycję w życiu kulturalnym krajów swego zamieszkania, mają swą rangę w międzynarodowej wymianie artystycznej rozwijanej przez nasz kraj.

W warszawskich Łazienkach przedstawił swe obrazy przedwojenny absolwent warszawskiej ASP, członek partyskie Socjete des Artistes Independants — Julian Siemion-Siemionowski z Wielkiej Brytanii. Jego wystawy cieszyły się znacznym zainteresowaniem w wielu krajach.

Dodajmy, że obok wystaw, sprawie dalszego rozwijania kontaktów krajowych i polonijnych artystów plastyków służy udział naszych rodaków w licznych plenerach malarskich, rzeźbiarskich i fotograficznych organizowanych corocznie w kraju. W br. przebywało na nich wspólnie z polskimi kolegami kilkunastu naszych rodaków z Argentyny, Australii, CSRS, Kanady, Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii.

W. SŁAWSKI

POLONIA W KRAJU

zaprezentował Janusz Kozikowski ze Stanów Zjednoczonych. Wydarzeniem artystycznym była wystawa fotografów polonijnych najnowszym dziełom Warszawy, obrazowi jej ulic, domów i zabytków okresu międzywojennego, czasu zniszczeń i odbudowy. Twórcą tych zdjęć zamieszkała od 30 lat w Argentynie Zofia Chometowska. Swe prace przekazała ona Muzeum Historycznemu stolicy.

Wystawy artystów polskiego pochodzenia, którzy często osiągnęli liczącą się pozycję w życiu kulturalnym krajów swego zamieszkania, mają swą rangę w międzynarodowej wymianie artystycznej rozwijanej przez nasz kraj.

W warszawskich Łazienkach przedstawił swe obrazy przedwojenny absolwent warszawskiej ASP, członek partyskie Socjete des Artistes Independants — Julian Siemion-Siemionowski z Wielkiej Brytanii. Jego wystawy cieszyły się znacznym zainteresowaniem w wielu krajach.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Jack Eisner i Roman Kent są zamożni, nawet jak na warunki amerykańskie. Kent, którego poznałem w Łodzi, przy okazji jego kontaktów handlowych z naszymi centralami handlu zagranicznego, mieszka prawie 100 km od nowojorskiej metropolii. Gdy podjeżdża bezowym cadillakiem za 20 tys. dolarów, drzwi garażu otwierają się automatycznie, a o wyposażeniu komfortowej willi chyba dość powiedzieć, że ma nie tylko basen z podgrzewaną wodą, ale również osiem komfortowych łazienek, każda w innym tonie i barwie.

MEDIUM MEDIUM MEDIUM

Niech pan nie myśli — zastrzegam się — że w Ameryce tak wszyscy mieszkają. Wie pan jak mnie traktowali, gdy tu przyjechałem? Na przykład — częstowali bananem i, pokładając się ze śmiechem, powiadali: tylko nie jedz tego ze skórą... Albo starali się upokorzyć złośliwie pytając: — czy ty wiesz co to jest łazienka?...

Przed wojną jego ojciec miał fabrykę włókienniczą w Łodzi przy ul. Śródmiejskiej (vis a vis Muzeum Sztuki, doszczętnie spłonęła bodajże w 1959 roku). Zapamiętał, że na terenie fabryki mieszkał dozorca, którego ojciec bardzo lubił i szanował. Nazywa się Kazimierz Borowski. Odnalazł go w Szczecinie, jeszcze pracując na pół etatu w Gazomontażu. Trafili też do swego rówieśnika, pasierba Borowskiego, Tadeusza. Obu zaprosił do Victorii. Wspominał, że pewnego razu, kopiąc piłkę z Tadeuszem, wybił szybę w kantorze i pan Borowski zaraz wstawił nową, aby ojciec się nie gniewał.

Niewiele więcej pamięta z tamtych czasów, nim przyszli hitlerowcy i zabrali ich do getta, a później wywieźli do Oświęcimia. Z całej jego klasy, do której też chodził Dawid Sierakowski, autor odnalezionego po wojnie zionackiego groza Dziennika piekła wojny przeżyli tylko trzy osoby...

Tragiczne dzieciństwo oświęcimskie było również udziałem Jacka Eisnera, który trafił do hitlerowskiego obozu zagłady po likwidacji getta warszawskiego. Dystyngowany dziś biznesmen amerykański, przewodniczący organizacji nieletnich szmuglerów, na miejscu rozstrzelanych za przemykanie chleba z aryjskiej strony...

Po wyzwoleniu, Kent i Eisner, postanowili wyemigrować do USA. Z czasem, wspólnie założyli przedsiębiorstwo specjalizujące się m. in. w handlu wyrobami odzieżowymi i dziewiarskimi. Przygotowania do obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka i głośny serial

Holocaust, podsunęli im pomysł nakręcenia filmu dokumentalnego o oświęcimskim dzieciństwie sławnych dziś pisarzy i artystów, polityków o międzynarodowej renomie oraz biznesmenów i naukowców. Wspomnienia tych ludzi zilustrowali bogatym materiałem dokumentalnym z archiwów w USA, Holandii, Danii i Francji. Powstał z tego przeszło godzinny film o wstrząsającej wymowie. Aby jednak nadać mu wyższą rangę artystyczną producenci zwrócili się do Liv Ullmann, o wygłoszenie monologu mającego poprzedzać projekcję części dokumentalnej Dzieci zagłady.

Najwybitniejszą odtwórczynią ról kobiecych w filmach Bergmana spotkali w jednym z tych małych teatrzyków na Broadwayu, które starają się realizować najambitniejszy repertuar. Liv Ullmann występowała w musicalu I remember mama, przedstawiającym dramatyczne dzieje rodziny emigrantów przybyłych ze Skandynawii na ziemię amerykańską w poszukiwaniu pracy. Zamiast poprawy warunków bytowania spotkała ich gorzka bezrobocia. Grająca rolę matki Liv Ullmann praniem musi zarabiać na kawałek chleba dla siebie, męża i trojga dzieci...

Sławna aktorka zgodziła się wystąpić w Dzieciach zagłady dopiero po obejrzeniu zrealizowanej części dokumentalnej. Była tak wzruszona tym obrazem, że nie mogła powstrzymać łez. Odmówiła przyjęcia honorarium.

Już w Warszawie, odpowiadając na pytanie korespondenta Reutersa, podczas konferencji prasowej zaimprovizowanej w saloniku recepcyjnym stołecznego lotniska, oświadczyła: — Przyjechałam w związku z filmem dokumentalnym „Dzieci zagłady”. Uważam, że taki film jest ważny i potrzebny nie tylko ze względu na tych, którzy przeżyli, ale również ze względu na przyszłość naszych dzieci. Nie chcemy, aby to się kiedykolwiek powtórzyło, i nigdy dość o tym mówić. Ale nawet w dzisiejszym świecie takie rzeczy mają miejsce, tylko staramy się o tym nie mówić i nie wiedzieć, bo uważamy, że to nas nie dotyczy. Myślę, że jednak nas dotyczy, bo to jest nasza historia i nasza sprawa, bez względu na to czy jest się Żydem czy nie. Uważam, że jest również moim obowiązkiem uczestniczenie w takiej formie protestu przeciwko okropnościom wojny...

Wieczorem Roman Kent wydał przyjęcie na cześć swej małżonki, również byłej więźniarki obozu zagłady w Oświęcimiu, obchodzącej akurat tego dnia 50-lecie urodzin. Goście przybyli do orestaurowanych sal, w których we wrześniu 1364 roku mieszczanin krakowski, Mikołaj Wierzynek, po królewsku podejmował gości przez Kazimierza Wielkiego monarchów.

Wznoszącemu toast gospodarzowi siłą rzeczy nasunęło się porównanie koszmarnego dzieciństwa oświęcimskiego z dzieciństwem Suzi i Jeffreya, urodzonych i wychowanych w pokoju, dzieci pp. Kentów, studentów uniwersytetu w Filadelfii... Do gratulacji i najlepszych życzeń składanych na rece jubilatki przyłączyła się też Liv, tym serdeczniej, że sama jest matką już 14-letniej córki.

Nazajutrz, o godz. 7 rano, cała amerykańsko-polska ekipa filmowa była gotowa do realizacji zdjęć z udziałem Liv Ullmann na tle autentycznej sceny hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Reżyserię i autorstwo zdjęć tej części Dzieci zagłady powierzono Andrzejowi Kostence, a amerykańskiego kierownika produkcji, Victora Stolova, zastąpił Józef Bajlon. Zdjęcia kręcono przez dwa dni, od rana do wieczora.

Przed bramą z napisem Arbeit macht Frei, przy I krematorium oraz na rampie, gdzie selekcionowano miliony ludzi zwożonych tu na

zagładę z całej podbitej Europy, Liv Ullmann mówiła tekst napisany przez amerykańskiego scenarzystę, Yale Roe: — To jest opowieść o dzieciach i ich świecie — świecie ludzi, którzy ich kochali, świecie zabaw i marzeń, świecie niewinności. O świecie, który miał się zmienić i gdzie dzieci miały usłyszeć brzmienie dziwnych nazw. Jedną z nich miał być Auschwitz, w kraju zwanym Polską, w którym dziś jesteśmy. Auschwitz — anomalia bez precedensu... Biel zimy została splamiona krwią. Spokój wiosny został złamany przez płacz dzieci. Wolność lata została wyszydzona przez kolezasty drut. Zapach jesieni zaś użyłony popiołami śmierci...

Mimo udzielającego się wszystkim ogromnego napięcia wywoływanego niesamowitą scenografią miejsca najpotworniejszej kazi w dziejach ludzkości, Liv potrafiła narzucić sobie żelazną dyscyplinę w swojej trudnej roli. — Nie, nie mogę całkowicie się odizolować, zapomniać o otoczeniu, odrzucić jego historii, skoncentrować się wyłącznie na podawaniu do kamery wyczonego tekstu — mówiła w krótkiej przerwie między kolejnymi ujęciami. Aktorstwo traktuję poważnie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności: wiem, że mój zawód wymaga mego udziału w tych zdjęciach. Wszystkimi siłami zmuszam się więc do panowania nad sobą aby nie wybuchnąć płaczem.



Foto: K. Chwiejczak
„...Nawet w dzisiejszym świecie takie rzeczy mają miejsce, tylko staramy się o tym nie mówić i nie wiedzieć, bo uważamy, że to nas nie dotyczy...”

Rozluźnienie przyszło dopiero po powrocie do Warszawy. Liv obejrzała materiał nakręcony przez polską ekipę. Była zadowolona, że uniosła ciężar swej roli. Komplementowała Andrzeja Kostenkę za doskonałe ujęcia, zaproponowała by został operatorem przy realizacji jednego z jej kolejnych filmów.

— Jaki masz wpływ na artystyczny kształt postaci kreowanych w filmach Bergmana? — pośpiesznie pytam Liv Ullmann, podczas poże-gnalnego obiadu w „Victorii”.

— Jego są słowa — odpowiadała — bo jest przecież autorem scenariuszy, ale moja jest twarz i moje są przeżycia. Z tego już choćby wynika należa mi na planie swoboda. Bergman daje mi ją jako człowiekowi i jako kobiecie...

— Właśnie, czy możesz pokusić się o ocenę filmów Bergmana, tylko z pozycji kobiety?

— Wszystkie jego filmy były dla mnie bardzo cenne. Mogę powiedzieć, że dzięki nim uświadomiłam sobie wiele spraw, że tak powiem, czysto kobiecych.

— Nigdy nie dochodzi między wami do różnicy zdań?

— Nasza artystyczna współpraca jest bardzo bogata. Czasem na tę samą kwestię — jak choćby — kim jest kobieta i matka, mamy odmienny punkt widzenia...

— Może posłużysz się konkretnym przykładem?

— W „Jesiennej sonacie”, która właśnie weszła również na ekrany polskich kin, zaprotestowałam, gdy kazal mi powiedzieć, że największym zadowoleniem matki jest widzieć smutek dziecka. Oświadczyłam, że tego fragmentu nie powtórzę, bo po prostu nie wierzę w zadowolenie matki z powodu smutku własnego dziecka. Bergman zgodził się ze mną, do filmu weszły słowa skierowane do matki: — Twoja największa radość to mój smutek... Uważam, że dzięki temu zamiast ogólnego stwierdzenia zostało zaznaczone właściwe zagadnienie.

— Czy ci się nie wydaje, że problem przedstawiony w „Jesiennej sonacie” jest zgola nie-realny?

— „Jesienna sonata” jest spojrzeniem męzczyzny na matkę pochłoniętą karierą i jej córkę. Sądzę, że przedstawiona sytuacja nie tylko jest realna, ale na pewno zdarza się w życiu. Bo matka zajęta pracą zawodową wcale nie musi być złą matką, może być równie dobrą jak ta, która poświęca się swemu domowi.

— Najbliższe plany?

— W przyszłym roku kolejny film z Bergmanem. Będzie to już nasz dwunasty film... Teraz piszę książkę o kobiecie we współczesnym świecie. Tak, cieszę się, że dobrze została przyjęta moja pierwsza książka — „Przemiana”, która niedawno się ukazała. Mam nadzieję, że przetłumaczona zostanie również na język polski...

Liv Ullmann z Warszawy odleciała do Monachium, na spotkanie z Ingmarem Bergmanem. Powiedziała na pożegnanie: — Na pewno wrócę do Polski, pókochołam wasz kraj i ludzi, z Polską łączę swoje najlepsze wspomnienia...

KONRAD TUROWSKI

wizacji naszego historycznego spojrzenia. Jakżeż uboga byłaby nasza historyczna wiedza o czasach najnowszych, gdyby nie bogactwo różnorodnych informacji, zróżnicowana obfi-

HISTORIA I KINO

tość rekonstrukcji dziejowych wydarzeń, które zawdzięczamy taśmie filmowej! W najnowszej książce wybitnego historyka filmu Władysława Jewśiewickiego, wydanej przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe w bieżącym roku (1979) pod tytułem: „Z dziejów polsko-radzieckiej współpracy filmowej 1917 — 1977” przeplatają się ze sobą oba te aspekty

historyczności filmu: dokumentacyjny oraz rekonstrukcyjny. Pierwszy z nich zdecydowanie przeważa w tej części rozważań autora, które dotyczą udziału polskich filmow-

rzeczywistości, którego bez sięgnięcia do zapisu filmowego nie sposób byłoby w pełni poznać i zrozumieć. Jak przystało na rozsgowo historyka, uczony nie ograniczył się tu tylko do opowiedzenia — jak czynią to często autorzy, którzy utożsamiają zadania historyków filmu i krytyków filmowych — własnymi słowami tego, co zobaczył, oglądając te dawne zdjęcia. Postarał się o maksymalne rozszerzenie swej podstawy źródłowej: sięgnął do najróżniejszych dokumentów — w tym również radzieckich archiwaliów — pamiętników i relacji, aby zgodnie z regułami historycznej krytyki rozpoznać okoliczności czasu i miejsca pracy swych bohaterów, oraz przedstawić ich czytelnikowi w jak najpełniejszy sposób. Podobny charakter ma również przedstawienie dziejów Czołwki Filmowej Wojska Polskiego w latach 1943 — 1945. Także i tu zaprezentował Wł. Jewśiewicki wyniki swych badań, a nie tylko impresje oparte o przeglądnięty materiał filmowy. Historyk pokazał, jak od skromnych początków, od pracy dokumentującej organizację i szkolenie oddziałów polskich, życie codzienne Armii Polskiej w ZSRR, doszło do realizacji coraz bardziej ambitnych, takich jak dokumentacja działań I Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki, bitwy pod Lenino, walk na cmentarzach polskich i innych. Z Czołwki Filmowej narodziła się właśnie nowa

polna kinematografia. „Z chwilą ogłoszenia w dniu 13 listopada 1945 roku Dekretu Krajowej Rady Narodowej o przemianowaniu „Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego” w Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski” oraz następnego dekretu z dnia 8 grudnia 1945 roku, na mocy którego dokonano nacjonalizacji polskiej kinematografii — rozpoczęła się właściwa organizacja i budowa polskiego przemysłu filmowego”.

I wreszcie kilka słów o owym drugim aspekcie historyczności filmu: jak go nazwalimy rekonstrukcyjnym. Trudno go oczywiście izolować od pierwszego, skoro przecież zadaniem, jakie przyświecało wszystkim, którzy filmowali historię na gorąco, było dokonanie jej filmowej, obrazowej rekonstrukcji. Czyż mielibyśmy dziś owe wspaniałe obrazy, przedstawiające dzieci świata i naszego kraju podczas II wojny światowej, gdyby nie dokumentaliści? Z pewnością nie, choć przecież filmowe odtworzenie dziejowych zdarzeń nie zawsze musi się w całości rozciągać opierać tylko o zdjęcia dokumentalne. W książce Wł. Jewśiewickiego powiedziano bardzo wiele również i o tych sprawach.

Niewielka monografia Wł. Jewśiewickiego poświęcona polsko-radzieckiej współpracy filmowej może być czytana również jako studium z dziejów... społeczno-politycz-

GŁOS

NASZEGO

CZASU



Foto: J. Prajs
ZBIGNIEW GODLEWSKI. „Dla młodych, ambitnych twórców drzwi naszej wytwórni stoją otworem...”

Dalszy ciąg ze str. 1

realizacje liczące tysiące tytułów i bez najmniejszej przesady setki nagród na festiwalach krajowych i zagranicznych. Ogromny to dorobek i trudno go podsumować dwoma zdaniem, bo przecież te liczby mówią same za siebie. Jest ten dorobek naszą siłą, ale nie zamierzamy bynajmniej spocząć na laurach. Nasi realizatorzy, godni następcy Marczaka, Brzozowskiego czy Włodzimierza Puchalskiego, który do swoich ostatnich chwil stał przy kamerze na lodach Antarktydy, nieustannie pracują nad odnowieniem gatunku — jest ich niekłamana zasługa, że poszerzyliśmy pole swojej penetracji tematycznej i formalnej, że obok filmów o wyrażonej tendencji dydaktycznej czy, jeśli pan woli, edukacyjnej przedstawiamy widzom światowego kina realizacje o wybitnych walorach artystycznych, wizytówki naszego kraju na odległych kontynentach. Chemy bowiem aby tradycja nie była dla nas balastem ani czasem przetrzym, tylko polem nieustannej konfrontacji twórczej. Niech młodzi przemawiają we własnym imieniu, niech wzbogacają swoją wrażliwość i ostryość widzenia, bo znak firmowy WFC — właśnie ze względu na dorobek i tradycję naszej wytwórni rzeczywiście zobowiązujemy.

— A czy może pan z grubsza scharakteryzować problematykę waszych filmów? Co uważa pan w nich za najważniejsze?

— Tylko z grubsza, bo pojęcie: film oświatowy — jest bardzo pojemne. Poczytujemy to sobie za sukces, bo zdarzały się lata, kiedy film oświatowy pojmowano bardzo wąsko, wyłącznie jako materiał pomocniczy dla ucznia czy nauczyciela, któremu miał pomóc w poglądowym przekazaniu materiału lekcyjnego. Doceniamy rolę filmu w procesie nauczania, ale nie chemy zrezygnować z ambicji szeroko pojętej edukacji narodowej dalece wykraczającej poza dane podrecznikowe. Przecież od samego początku twórcy filmu oświatowego starali się sięgać tam, „gdzie wrzecz nie sięga”, a mickiewiczowska „Oda do młodości”, którą tu tak nieoskonale cytuję, każę wszak także łamać, „czego rozum nie zlamie”. Nie chcemy być tylko rejestratorami czy „odglądaczami” świata, chcemy być także jego interpretatorami, stawiać widzowi centralne pytania epoki, dawać mu bogaty pakiet refleksji własnych i spraw do przemyślenia. To nie przypadek, że właśnie w naszej wytwórni powstały takie filmy jak „Polska — plac budowy”, „Port Północny 1973”, „Polska miedź” czy „Polskie elektrownie i urządzenia elektryczne” mówiące o dniu dzisiejszym naszego kraju. W tych wielkich tematach społecznych nie chcemy konkurować z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych, której zadaniem jest relacjonować życie na gorąco w sposób bliski reportażowi. Nie uchylamy się przed reportażem, choć traktujemy go raczej jako wprawkę w sztatach, bo nasi twórcy mają obowiązek przemawiania w sposób bardziej dojrzały i gdyby szukać porównań w innych dziedzinach twórczości to wydaje mi się, że nasze realizacje są bliższe esejowi, który ma nieporównywalnie większą nośność myślową niż doraźna publicystyka. Takie eseje poświęcone rozwojowi dzieci realizuje z powodzeniem laureatka wielu konkursów i festiwalu Jadwiga Zukowska, twórczyni znanych w świecie filmów „Moje — nie dam” czy „Malowane palcami”. A przecież interesuje nas prezentacja dorobku polskiej nauki, dokonania i tradycje polskiej kultury, sztuk plastycznych, teatru, literatury, robiliśmy nawet filmy o filmie czy telewizji, bo wszak kultura ma-

sowa należy do najważniejszych zjawisk współczesnego życia.

Gdybym chciał mówić o wszystkim, musiałbym przekształcić naszą rozmowę w wylicznikę, bo przecież powstało u nas sporo filmów o szeroko pojętej tematyce gospodarczej i politycznej, o problemach współczesnej rodziny, ba, cały szereg filmów światopoglądowych poczynając od wieloocinkowej „Biblij” Leszka Skrzydła aż po cykl „U źródeł religii”. A przecież przypominaliśmy najszczytniejsze tradycje narodowe i wolnościowe, rejestrowaliśmy zanikające zwyczaje, odwoływaliśmy się do najcenniejszych wartości polskiego folkloru, nie stroniłiśmy także od problematyki science-fiction i kosmicznej, bo to także nasze zadanie.

Korzystamy ze współpracy najwybitniejszych przedstawicieli polskiej nauki i kultury, są oni naszymi ambasadorami na różnych polach działalności ludzkiej, reprezentują techników i humanistów, a przede wszystkim mają wiele do powiedzenia o czasie, w którym żyjemy. Gdyby mi więc przyszło najogólniej scharakteryzować tematykę naszych filmów, to mógłbym ją bardzo niedoskonale określić jako próbę przedstawienia niepokojów i nadziei naszego czasu, jako głos tych, którym problemy tego czasu nie są obojętne.

— Wspomniał pan, że realizatorzy Wytwórni Filmów Oświatowych są następcami takich filarów kina edukacyjnego jak Karol Marczak czy Włodzimierz Puchalski. Miał pan na myśli średnie pokolenie reżyserów czy też uwzględnił pan w tej ocenie także niedawnych absolwentów łódzkiej Szkoły Filmowej.

— Pierwsze pokolenie młodych twórców przyszło do naszej wytwórni w latach pięćdziesiątych. Ten zastrzyk świeżej krwi dał dobre owoce, skoro tylko w latach 1957—1960, a więc, gdy ci młodzi nieco tylko okrzepili ich filmy otrzymały 55 nagród na festiwalach międzynarodowych. Muszę posłużyć się tą liczbą, gdyż o wartości naszej produkcji często muszą świadczyć właśnie wyróżnienia, ponieważ właściwie do tej pory nie znaleziono odpowiedniej formuły ich upowszechniania. Chodzą wprawdzie po ekranach jako tak zwane dodatki do filmów fabularnych, ale, nie z naszej przecież winy, gdzieś zaniknęła tradycja tak popularnych przed wojną kin oświatowych, które służyły głównie edukacji młodzieży. To prawda, że część ich funkcji przejęła telewizja, która prezentuje lwią część naszej produkcji nie licząc tych realizacji, które nakreśliłiśmy specjalnie na szklany ekran, ale jakoś szkoda tamtych sal kinowych, będących zarazem miejscem spotkań towarzyskich i dyskusji światopoglądowych. Ale czas jest przecież nieubłagany, nawet debiutanci z końca lat pięćdziesiątych stanowią dziś średnie pokolenie realizatorów, które tak pięknie zapisało się w historii filmu oświatowego. Co prawda duchem pozostali młodzi, rozwinieli tylko talent, robią dzieła dojrzałe, mądrzejsze, głębsze w ogólnoludzkiej wymowie, ale to przecież ogólne prawo twórczego rozwoju. Za pięćmi wyrosli im następcy, jeszcze młodszy od nich, absolwenci łódzkiej szkoły, którzy dali o sobie znać ostatnio całą lawiną nagród. Odmłodzili oni w pełnym znaczeniu słowa gatunek i w dalszym ciągu się rozwijają. Ostatni festiwal gdański, który stanowią wprawdzie przegląd dorobku fabularzystów dowiódł wszakże, że szkoła dojrzałości reżyserskiej i możliwości, jakie stwarza „oświatówka” mogą być przydatne nawet fabularzystom, bo tam oglądano realizacje niedawnych twórców filmu o-

światowego. Niektórzy z nich przyznają się do nas, inni nie, i to też ich dobre prawo, ale każdy na pewno potwierdzi, że wytwórnia wiele zrobiła dla młodych umożliwiając ambitne debiuty i zapewniając pomoc przy okrzepieniu podczas pierwszych prób zmierzania się z oporem twórczej materii. Dla młodych, ambitnych twórców drzwi naszej wytwórni stoją otworem, na pewno wśród naszych propozycji znajdują tematy, które pozwolą im przeżyć prawdziwie twórczą przygodę. Jest tu także margines na artystyczny eksperyment.

— A co z filmami o ambicjach fabularnych adresowanymi głównie do młodej widowni? Odnozę wrażenie, że gatunek ten został ostatnio jakby zaniedbany.

— Od pewnego czasu, o czym pan zapewne wie jako współscenarzysta serialu „Siedem stron świata”, realizacje te dokonywane były głównie w oparciu o telewizję i ostatnio prezentowany był serial Leokadii Migielskiej „Detektywi na wakacjach”. Nasi realizatorzy mający ambicje fabularne dali się już poznać jako reżyserzy pełnometrażowych obrazów, wśród nich przyjaciel pański Wojciech Fiwek, którego „Pogrzeb świętarszcza” spotkał się z przychylnym przyjęciem krytyki. Szkoda, że te filmy przeznaczone dla młodej widowni czy nawet adresowane do dorosłych, choć o problemach młodych powstają poza naszą wytwórnią. Przyznaję, że ta bierna rola nie zadowala nas w pełni, chcielibyśmy bowiem, aby moce produkcyjne wytwórni służyły jej rozwojowi. Dlatego powiedzmy to sobie jasno, a Międzynarodowy Rok Dziecka wprost do tego prowokuje, że wytwórnia chętnie przyjąłaby na siebie obowiązek realizowania pełnometrażowych filmów fabularnych dla dzieci, filmów, które praktycznie zniknęły z naszych ekranów, gdyż nie mieszczą się w profilu tematycznym zespołów filmowych. I dlatego, niesłusznie zostały zepchnięte na margines, który stara się poszerzyć nieodmiennie ta sama grupa fanatyków sprawy dziecięcej. Wytwórnia nasza twórczo, produkcyjnie i technicznie zdolna jest podjąć ten zapoznany gatunek mając w swym gronie i wielu realizatorów sprawdzonych już w pracy z dziećmi na planie filmowym, i bogate kontakty z psychologami, pedagogami, którzy w każdej chwili mogą służyć cenną pomocą w zakresie interesującej nas tematyki. Nie narzekamy także na współpracę z literatami, toteż spełniamy wszystkie warunki gwarantujące powodzenie tego ambitnego przedsięwzięcia. Ostatnie słowo będzie należało do Naczelnego Zarządu Kinematografii i Stowarzyszenia Filmowców Polskich, które posiada specjalną Komisję Filmów Młodzieżowych i Dziecięcych. Jeśli nasza propozycja, którą za pośrednictwem „Odgłosów” stawiam publicznie, zostanie przyjęta, na pewno wkrótce znajdziemy temat do rozmowy poświęconej tylko temu zagadnieniu.

Cieszę mnie te plany wytwórni, gdyż jak sądzę zainteresują one całe środowisko pisarskie Łodzi. Mam tu przecież autorów uprawiających twórczość dla młodego czytelnika. To potencjalni scenarzyści filmów dla młodej widowni. Dziękując za interesującą rozmowę chcę równocześnie w imieniu „Odgłosów” pogratulować pięknego jubileuszu Wytwórni Filmów Oświatowych i życzyć jej realizatorom nowych, jeszcze wspanialszych filmów.

Rozmawiał:
KONRAD FREIDLICH

Trafność wyboru utworu literackiego, poddawanego zabiegom adaptacyjnym, jest początkiem sukcesu lub porażki filmu. Wyborowi temu musi bowiem towarzyszyć określona motywacja. Sam fakt istnienia literackiego dzieła — nosiciela tematu i fabuły — nie usprawiedliwia jeszcze prawa do ekranowej jego konkretyzacji. Gdy motywacji wyższego rzędu brak, powstają filmy, których ambicją nie przekracza konwencja ilustracji. A zapominać nie można, że obrazowość nie jest jedynym wywoływaczem, że specyfika filmowej czasoprzestrzeni organizowana jest poprzez szczególne, rytmizowane układy owych obrazów, które istnieją dodatkowo, w ścisłej współzależności wszystkich tworzyw dzieła filmowego.

Motywacja, o której tu mowa, nie dotyczy jednak tylko filmowo-artystycznej koncepcji przetworzenia literackiego pierwowzoru. Koncepcja ta służy temu, co potocznie nazywamy oddaniem jego idei. Gdy zaś twórca filmowy sięga po dzieło klasyczne, często odległe w czasie, problem motywacji podlega szczególnemu spiętrzeniu. Poszukujemy bowiem wówczas w adaptacji tych treści pierwowzoru, których uniwersalizm bądź aktualizacja czynią filmowym, poruszającym wyobraźnię dzisiejszego odbiorcy. Ten zaś warunek nie jest niezbędny w lekturze oryginału, którego walor i smak tkwi często głównie właśnie w jego historyczności.

Powyższe uwagi pozostają w związku z odczuciami, jakie budzi najnowsze adaptacyjne dokonanie naszego kina, czyli „Placówka”, reżyserowana przez Zygmunta Skoniecznego. Omawiając ten film, pójdźmy więc ich tropem.

Wybór „Placówki” Bolesława Prusa, podobnie jak wcześniej „Laternika” Henryka Sienkiewicza, wskazuje na osobiste zainteresowania reżysera, poszukującego w klasyce literackiej tych tekstów, w których fikcja artystyczna posiada swe uwarunkowania historyczne, w których historia jest głównym determinantem losów jednostkowych. Bieg czasu sprawił jednak, że o ile temat „Laternika” jest nadal nosicielem ważkiego w świadomości narodowej motywu, o tyle temat „Placówki” posiada swe zamknięte już historią problemy. Można by i przy „Placówce” mówić o uniwersalnym temacie wartości ziemi i pracy na niej, o głębokich związkach człowieka wsi z tą ziemią, ale musiałyby wówczas powstać inny film niżeli ten, który zaproponowano. Sądzę bowiem, że Zygmunt Skonieczny zbyt silnie

zawierzył dzisiejszej nośności powieści Bolesława Prusa, a nie zdołał przy tym zrobić filmu na tyle artystycznie bezbłędne, by jego wartość ocenić miarą historycznych walorów pierwowzoru.

Władomo, że pierwszą swą próbą powieściową dołączył Bolesław Prus w 1885 roku do grona szermierzy „pracy u podstaw”. Dzieje walki, a właściwie oporu Ślimaka wobec kolonistów niemieckich miały wówczas swój ekonomiczno-społeczny i polityczny sens. Historia chłopieckiego Hłoba, młodzińczego całym ciągiem nieszczęść, samotnego w swych zmaganiach z losem, ukazywała jednocześnie słabość owej społecznej „placówki”. Powieść Prusa odczytywana była w okresie nasilającej się na terenie Wielkopolski polityki Bismarcka jako wielki alarm, budzący w obliczu kolejnego zagrożenia ze strony zaborców, poczucie konieczności wspólnoty narodowej.

Słabość filmowej „Placówki” polega, w moim odczuciu, na tym, że jej reżyser nie zdołał zrekonstruować politycznego i społecznego klimatu tamtych czasów, nie zdołał także przekonywująco w sensie obyczajowym i psychologicznym przetrzeć akcentu na jednostkowy dramat Ślimaka i jego rodziny.

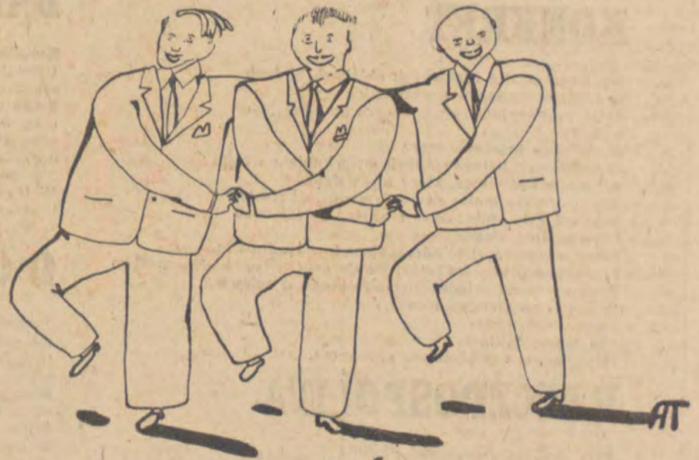
Dowodów na to, jak bardzo trudno stworzyć na ekranie wiarygodny obraz wsi i jej mieszkańców, mamy w naszym kinie wystarczająco dużo. Z tym momentem ryzyka musi

PLACÓWKA

się zatem reżyser liczyć. Nic zatem nie tłumaczy tego, że mimo znacznej dbałości o realia historyczno-obyczajowe, materialne, wynikające m. in., ze słusznego przeniesienia akcji powieści Prusa nad Bugu w rejon Kujaw, całość dokonania ma w sobie wiele z przebiegłości i tak obcej kinu teatralnej umowności. Wspomniana teatralność znajduje też swój wyraz w sposobie prowadzenia aktorów i inscenizacyjnych rozwiązaniach poszczególnych scen, co już jest prostą słabością wstępu. Ujawnia się ona niestety także poprzez montażowe niedostatki kompozycyjne i narracyjne, które sprawiają, że trudno mówić choćby tylko o potoczności opowieści. Wszystko to prowadzi w efekcie do uproszczenia zarówno tematu społecznego jak i ludzkiego dramatu, który, w nie najlepszej przecież powieści wielkiego pisarza, przemawiał jednak głęboką prawdą psychologiczną.

EWA NURCZYŃSKA

BALET KLASYCZNY



Rys. Andrzej Tylczyński

— Znam pani córkę — powiedziałem do pulchnej kobiety, której okrągła twarz była nawet ładna.

— A kim pan jest? — zapytała.
Na to pytanie było mi bardzo trudno odpowiedzieć.

— Jestem..., jakby tu pani powiedzieć?... W zasadzie nikim, kto ma prawo do pani przychodzić nawet w tak ważnej sprawie, jak los pani córki... — wyjąkałem. Ponieważ milczała, nie ukrywając swego zdumienia, dodałem jeszcze: — Ale ta sprawa bardzo mnie zainteresowała, i...

— Jaka to sprawa?
— Pani córka, jej los...

— Czy pana coś łączy z moją córką?
— Nie, po prostu znam ją. Wiem, że uciekła z domu i porzuciła naukę, co musiało się stać z jakiegoś ważnego powodu, którego poznanie wydaje mi się ważne, bo chciałbym jej pomóc, sprawić, żeby do domu wróciła i żeby ponownie zaczęła się uczyć.

— A gdzie poznał pan moją córkę?
— W jednym z klubów — skłamałem, nie chcąc być zmuszony do zdradzenia adresu Iwony.

— Proszę, niechże pan wejdzie dalej do pokoju. Uprowadzam jednak, że za niecałą godzinę wychodzę do pracy.

Przepuściła mnie i pierwszy wszedłem do pokoju, który jak żaden wydał mi się nudny i świadczący o pospolitości tego domu i tworzących go ludzi. Usiadłem na krześle przy okrągłym stole przykrytym obrusem wymalowanym w duże niezgrabne kwiaty. Zapytałem, czy mogę zapalić papierosa. Matka Katarzyny zgodziła się, choć wyznała, że sama nie pali, ale jej starsza córka też pali, więc jest przyzwyczajona do dymu.

— Chce pan więc wiedzieć, dlaczego Kaśka uciekła z domu? Otóż... nie zrobiła tego po raz pierwszy. Jak sama o sobie mówi, jest bardzo egzaltowana i pod tym względem przerasta wiele swoich rówieśnic. Ale nie rozumie przy tym najbardziej podstawowych rzeczy. Jednocześnie jest wielkim dzieckiem. Pan tego nie zauważył?

— Tak, zauważyłem. Muszę pani zresztą powiedzieć, że to nie ona mi powiedziała, że uciekła z domu. Kłamała, że od października będzie studentką pierwszego roku matematyki.

— Oto i cała Kaśka! Jest moją córką, lecz nigdy się nie rozumiałymy. Jej siostra, starsza od niej o niecałe dwa lata, jest zupełnie inną dziewczyną. Ukończyła liceum bez żadnych trudności, pracuje, ponieważ wie, że należy mi pomóc i myśli o wieczorowych studiach.

— Przepraszam za pytanie, ale jak sądzi pan samotna?

— Jestem rozwiedziona. Mój mąż... Przykro mi o tym mówić... To alkoholik. Okradał własny dom, byle mieć za co wypić. Kaśka ma do mnie pretensje, że rozwód z jej ojcem wzięłam akurat wtedy, kiedy on był w więzieniu, bo i to mu się przytrafiło... kradł..., lecz była to jedyna okazja, by za to nie zapłacić.

— Tak, rozumiem. I właśnie o to Kaśka ma do pani pretensje?

— W każdym razie jest to główny powód, który sprawia, że nie możemy się nigdy zrozumieć. A ostatnio... Pan jest już dorosły, więc chyba może o tym powiedzieć... Był u mnie pewien mężczyzna. Mam kogoś, kto bardzo się mną interesuje i chce mi pomóc. Kiedy z nim przyszedł, dziewczęta już spały. Nie wchodziłyśmy do pokoju. Nie był długo, wszedł tylko po to, żeby się czegoś napić. Gdy wyszedł, przyszła do kuchni Kaśka. I dziwnym tonem zapytała kto tutaj był i nie czekając na moją odpowiedź, powiedziała z wyrzutem: „Wiesz, mamo, co ja o tobie myślę?” Próbowałam z nią porozmawiać, ale ona wróciła do łóżka. A następnego dnia uciekła z domu.

— Ona jest rzeczywiście jeszcze bardzo dziecinną — przyznałem.

— Proszę powiedzieć prawdę, dlaczego pan się nią tak interesuje?

— Bo jest mi jej trochę szkoda. Ktoś musi jej wreszcie powiedzieć, co traci rzucając szkołę, jak niewiele przez to osiągnie... — znowu zacząłem się jakać.

— Ona wróci. Jak zawsze wtedy, kiedy już będzie bardzo głodna i wydepcze kilka nowych ścieżek. A potem znowu przepadnie jak kamień w wodzie. Taka już jest...
Zegnając się z matką Katarzyny, przypomniałem sobie o poradni, której ja sam byłem pacjentem. Matka Katarzyny poprosiła mnie o adres tej poradni, ponieważ powiedziałam, że są tam ludzie, którzy potrafili Kaśce pomóc. Podziękowała mi i przyrzekła, że się tam kiedyś wybierze. Pomyślałem, że szkoda, że do-

piero kiedyś.
Tymczasem Katarzyna rzeczywiście wsiadła jak kamień w wodzie. Nigdzie nie mogliśmy jej znaleźć, a szukaliśmy jej we troje, bo oprócz Mariana, włączyła się do tego Iwona, Marian i ja obiegliśmy wszystkie baseny, ale bezskutecznie. Za to Iwona wykazała się prawdziwym kunsztem detektywistycznym. Odkryła bowiem coś wręcz niebywałego. Była na wystawie obrazów pewnego artysty malarza, który nagle stał się niezwykle popularny, jak zresztą każdy pomysłowy facet. Jego obrazy, to niemal fotografie, na tyle jednak malarskie, na ile sama farba potrafi zastąpić barwną kliszę. Kiedy sam obejrzałem te obrazy, od razu nabrałem przekonania, że są to malarskie kopie barwnych fotografii, ale zarazem takie, które przekonują do jeszcze jednej rzeczy, a mianowicie do tego, że żadne barwne zdjęcia nie są tak doskonałe. Co innego bowiem ręką artysty, a co innego aparatem fotograficznym.

Na jednym z takich obrazów było namalowane przyjecie w pracowni plastycznej. Była na nim Kaśka w towarzystwie wysokiego i barczystego faceta, który rzeczywiście mógł być już po czterdziestce. Uchwycony zostali na moment przed pocałunkiem.

— Widzisz — powiedziała Iwona, gdy oglą-

łą i dałaś drapakę z domu.
— No to co?!...
— Nic.
— To teraz ja coś ci powiem! Wyjeżdżam, bo w tym mieście za dużo jest takich facetów, którzy by chcieli wszystko o mnie wiedzieć i dlatego stale coś słyszę. A ja mam swoje życie. Swoje i tylko dla siebie!

— Jasne — rzekłem — ale pamiętaj, że będziesz w tym swoim życiu tylko dla siebie podłe samotna. Aż straciłś zupełnie szansę na normalne życie i pozostanie ci tylko to, co najgorsze...
— Wcale się tego nie boję panie demagogu!

— A ja myślałem, że jesteś bardziej inteligentna. Tymczasem ty dążysz ku upadkowi. To dlatego tak ci ostrzegam przed tym życiem tylko dla siebie. Do tej pory sądziłem, że bardzo ci zależy na uchodzeniu za osobę bardzo inteligentną, ale teraz już wiem, że ty nic nie zamierzasz zrobić, aby taką osobą naprawdę być.

— Za to ty jesteś niezwykle inteligentny — powiedziała z pogardą.

— Niczego takiego nie powiedziałem.
— Ale ja i tak cię przeproszam, że do ciebie podeszłam. Przyrzekam, że już nigdy tego nie zrobię.

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI WIATR NIE DZIEWCZYNA

dałem z nią ten obraz. — Ten facet musi być znajomym, a może nawet przyjacielem autora tych prac. Może nawet sam jest plastykiem.

— Może, ale nadal nie wiem, jak się dowiedzieć, kim on jest?

— Znam kilka młodych artystek, poproszę, żeby tu ze mną przyszły i spojrzały, czy znają tego faceta.

— To dobry pomysł — przyznałem.

Znajome artystki Iwony dostarczyły nam rzeczywiście wielu informacji. Był to istotnie artysta, stary kawaler, dobrze prosperujący jako dekorator wnętrz. Iwona zdobyła nawet adres jego pracowni. Teraz należało się dowiedzieć, czy Kaśka tam mieszka i jakie on ma wobec niej zamiary.

Pracownia znajdowała się na ostatnim piętrze wieżowca w nowej dzielnicy, która jeszcze wciąż powstawała, Marian i ja obserwowaliśmy tę pracownię, ale po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że na próżno tracimy czas. To znowu Iwona się dowiedziała, że artysta wyjechał, bo wykonuje jakąś zleconą robotę w Bydgoszczy. Dosłaliśmy zatem do wniosku, że Kaśka prawdopodobnie mu towarzyszy i pozostaje nam czekać, aż wróci.

Minęły dwa miesiące. Nadal nie pracowałem. Niczego także nie mogłem napisać. Była już jesień. Zimne wiatry szalały po ulicach i było mi zimno, ilekroć wychodziłem z domu, a mimo to nigdy nie mogłem w nim usiedzieć. Mój starzy nie klóćli się wprawdzie i było niby spokojnie, ale ów spokój znaczył, że matka zajmowała się tylko sobą i tylko sobą zajmował się ojciec, na co i ja byłem skazany, a więc nie mogło być chyba okropniej. Wolalem zatem odwiedzać Mariana i spędzać z nim długie godziny na rozmowach o wszystkim i o niczym. Chodziłem także do klubu, spotykając czasami Iwonę. Już niczego się nie dowiadywałem, zapowiedziała mi nawet, że nawet jeśli czegośkolwiek się dowie o Kaśce, to i tak mnie o tym nie poinformuje. Była na mnie potwornie wściekła, bo nie przyjmowała jej zaproszeń na kolacje i byłem głuchy na jej wyznania.

I oto któregoś dnia pojawiła się w klubie Kaśka. Zauważyła mnie i podeszła.

— Jak żyjesz? — zapytała.

— Tak sobie... — udałem, że jej pojawienie się nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. — A co u ciebie? — spytałem.

— Też tak sobie...
— Słyszałem, że mieszkasz z jakimś starszym facetem, który podobno ma forszę...
— To źle słyszałem — odparła.

— I jeszcze coś słyszałem... To mianowicie, że jesteś cholernie smarkata, bo rzuciłaś szko-

— Dokąd idziesz?! — Krzyknąłem, bo poderwała się od stolika jak oparzona.

Poszła. Jeszcze przez moment siedziałem, broniąc się przed nagłym napadem rozpaczliwego uczucia żalu, że aż tak ją zdenerwowałem, ale już po chwili wybiegłem za nią gnany przekonaniem, że tracę ją, na co tak długo musiałem czekać...

— Kaśka — zdążyłem ją jeszcze dogonić.

— Czego jeszcze chcesz? — była całkowicie na mnie zagniewana. Przystanęła tylko na chwilę, po czym powlokła mnie za sobą aż do Piotrkowskiej.

— Sama wiesz, że stać cię w tym życiu na wiele, a robisz same głupstwa. Wracaj do domu i do szkoły i szukaj się na studia.

— To za odległe — powiedziała. — Tymczasem nie mam zamiaru się nudzić. Bo już dosyć mam nudy, rozumiesz! Powiem ci coś; wróciłam do domu, pobylałam w nim kilka dni, ale to już koniec, już teraz naprawdę wyjeżdżam.

— Byłem kiedyś u twojej matki.

— Wiem.
— I nie jesteś zła?

— Nie, jest mi nawet przyjemnie, że znalazł się ktoś, kto myśli, że jestem czegoś warta i pragnie mi pomóc.

— I właśnie nadal o to mi chodzi.

— To nieprawda. Minęło trochę czasu i już o mnie zapomniałeś, co wyraźnie dzisiaj dostrzegłam. A teraz, kiedy wyjadę i nie będzie mnie jeszcze dłużej, zapomnisz już zupełnie.

— To nie wyjeżdżaj. Niebawem pójdę do jakiejś pracy, znajdę mieszkanie i możemy być razem.

— Wariat, skończony idiota! — Śmiała się pogardliwie.

— Dlaczego się śmiesz? Dlaczego nazywasz mnie wariatem!

— Przepraszam — spoważniała. — Wracaj do klubu bo zmarniesz.

— Już zmarniałem. Było mi tak zimno, że aż dzwoniłem zębami.

— Dokąd chcesz jechać? — spytałem.

— Nie powiem.
— Nie szkodzi, bo i tak cię znaję.

— Ty jesteś naprawdę bardzo śmieszny.

— Zobacysz, że tak będzie.
— Nie bój się. Zostaniesz w tym okropnym mieście i uschniesz z braku wrażeń.

— Nareszcie rozumiem, o co ci chodzi — rzekłem.

— Niby o co?
— O wrażenia. Tak bardzo, że wykorzystasz czynniki najbliższe sprawy, żeby uważać że masz do nich prawo.

— Nie rozumiem, czego się czepiasz. Jakże są te sprawy, które wykorzystujesz?

— Choćby to, że uciekłaś z domu tylko dlatego, że twoja matka przyprowadziła do domu mężczyznę. Tak cię to zabolowało? Czy to był powód do jakiegokolwiek buntu?!... Nie, ale tobie to wystarczyło, żeby tylko otworzyć sobie drogę do tych wrażeń, o które najbardziej ci chodzi. Ale dobrze, włóż się po świecie i miej te swoje wrażenia. Zobaczymy, jak to się kiedyś skończy.

— Myśl sobie o mnie, co chcesz.

— Wróc ze mną do klubu i porozmawiajmy spokojnie.

— Nie ma mowy. Zegnaj.

Ach ta Kaśka! Wiatr nie dziewczyna. Czy kiedyś zmądrzeje? Ale ze mną to naprawdę demagog. Łatwo być demagogiem wobec innych, ale jak tu pędzić to życie, żeby nie było takie przegrane, takie cholernie nijakie. Ale to przecież ja jestem nijaki i dlatego odczuwam przegraną, dlatego jest mi tak źle. Bezsens, to ja.

Już nie czuję zimna. Gdybym był nagi, też bym go nie czuł. Do tego stopnia zdrętwiałem.

Wróciłem do klubu. Spotkałem Iwonę, która wyglądała tak jakos inaczej niż zwykle. Inne uczesanie zrobiło z niej całkiem interesującą dziewczynę i nadało blasku jej oczom, które dotychczas wydawały mi się za bardzo melancholijne i trochę drażniły widoczny w nich nawinnością. Teraz jakby zmadrzały.

— Niezłe ci tak — powiedziałem. — To uczesanie jest bardzo dobre.

— Dziękuję — ucieszyła się. — Nie wiedziałam, że umiesz być tak miły.

— Mogę być miłszy, jeżeli zechcesz.

— Chcę.

— Masz trochę forsy?

— Mam kupować cię miłszego?

— Nie, ale jestem głodny i chcę pożyczyc parę groszy na jakieś żarcie.

— A może poszedłbyś do mnie i zjadł ze mną kolację?

— Do ciebie? Dobrze, niech i tak będzie.

Pojechaliśmy autobusem. Kolacja, którą zrobiła, nie była najlepsza, ale byłam tak głodny, że nawet to było co zjadłem ze smakiem. Na dokładkę musiała mi zrobić jajecznicę.

Nie powiedziałem Iwonie o rozmowie z Kaśką. Ona też pominęła ten temat, a przecież mogła nas widzieć, kiedy wchodziła do klubu i może nawet na pewno widziała, tylko rozumie, że mówienie o Kaśce zepsuje nam wieczór, który się całkiem niezłe zapowiadał. Bo nie wiem, co mi się stało, ale byłem dla niej naprawdę miły i naprawdę miałem ochotę na przespanie się z nią. Iwona też tego chciała, więc szybko dopiąłem swego.

Musiała być ze mnie zadowolona, bo w chwilach rozkosznych napięć jej paznokcie wpinały się w moją skórę na plecach zadając mi ból, który mnie drażnił. Ukaralem ją za to krzykiem, nakazując, aby zachowywała się bardziej przytomnie. Przez pewien czas tylko pojełkowała, ale znowu zawiodła ją pamięć i ponownie odczułem na plecach jej ostre paznokcie. Zeskoczyłem z niej.

— Musisz mnie drapać!...

— Przepraszam.

— Na nic mi twoje przeprosiny.

— Już nie będę chodził dokończymy...

— Wole nie ryzykować.

— Nie będę, słowo honoru.

— A dasz mi słowo honoru na to, że nie będziesz w ciąży?

— Co do tego, to nigdy nie ma pewności.

— No właśnie.

Niezadowolona przykryła się koldrą. Doszedłem do kranu i pod strumieniem zimnej wody obmyłem swój instrument, który mnie trochę bolał, bo trzeba przyznać, że przykre jest życie spadochroniarza. Zaraz potem ubrałem się. Iwona śledziła mnie przerażonymi oczyma, które jak zawsze przedtem drażniły mnie głupią naiwnością.

— Nie możesz zostać tu na noc? — spytała.

— Nie. Wracam do chaty.

Nic już nie powiedziałam. Wyszedłem w zimno i słotę jesiennej nocy. Początkowo dzwoniłem zębami, więc dla rozgrzewki pognąłem przed siebie sprintem. Bieg ten nie tylko mnie rozgrzał, ale także uwolnił od wszystkiego, co tego dnia nagromadziło się we mnie i poczułem się lżejszy, a nawet radosny, co mogło mnie tylko zdziwić, bo żadnego powodu do radości nie miałem. Była to zatem tylko chwilowa radość. Ale i sprint mój nie mógł trwać długo, bo bardzo szybko mnie zmęczył.

Fragment powieści „Bez życiorysu” przygotowany do druku w Wydawnictwie Łódzkim.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

KONKRET

Nie będę pisał o błękitnych obłokach białych
O najsmutniejszych z wszystkich myśli
O przypływie morza i wicherach gwizdających
o skały
O słodyczy prostocie serca
O niebiosach dziurawionych ewierkanem wróbli
A jeszcze są drzewa, które mróz ziębi.
Ale w pokoju moim znajdują się dwa krzesła,
tapczan, dwa stoły, sześć obrazów na ścianach
i ten siódmy zmieniający się.
Piszę wyraźnie, choć odczytujesz to z trudnością.
Znalazłem przecież Ciebie, Twoje usta jedzą eblek z masłem
Tego wieczoru oglądałeś śmierć konia w telewizji,
Szumi ci po kielichu wódki.
Uratowałeś mnie.
Oto rzeczy jakże są.
Odszukałem Cię kierowco spychacza.

RZECZPOSPOLITA

Przy osądzeniu mądrości Platona
zwykło się przeczołgać, że pisarz winien
brać udział tylko w dobrym dziele.
Natomiast w dziele realnym, wadliwym

przebywa tylko praca drukarza.
Jak dowodzi mędrzec Platon.

BARDZIEJ NIŻ OSTRE

Książko, ciebie dotyka naprawdę tylko wzrok ociemniałych.
Utrwalasz rozszerezenia najczystszych z oczu
sceptycyzm, wątpliwości — rozważań tłum
kiedy w przyszłości z takim trudem dające się
osiągnąć dobro — stanie się posiadaniem trwałym,
niezruchalnym i niezawodnym,
oprzesz się aż w doskonałość ludzkiego zuchwałstwa.
My pokonani żródeł gwarancji takiej przyszłości.
W jej przewidywaniu czystą stroną
książkę naszą zamykamy.

O CZYM MÓWI NAGI

Jakkolwiek człowiekowi przysługują cudowne palce
własności bogaczy,
to jednak jest on daleki od tego, by mógłby być
uważany za bogacza.
Kiedyś utrzymywano, że człowiek nagi jest mocniejszy
od króla odzianego stosem złotych nakryć.
Mimo jednak pewnej słabości tego ostatniego
w codziennej rzeczywistości, jemu jedynie przysługuje
możliwość każdej zmiany odzienia
w świecie o zmiennej pogodzie pór roku,
co nie jest dane nagiemu.

Albowiem moc tego ostatniego nie wpływa na jego
słabe stanowisko istnienia.
Posiada on na ziemi samych sędziów, przed którymi
ugiąć się musi: demos, przedstawicielstwo które może
rociągnąć

SOKRATES

Idea wolności, znalazła w państwie greckim,
najczystszy i najpełniejszy wyraz.
Temu rodzajowi wolności chętnie składano w ofierze,
co miano najlepszego.

Z NAMYDLONĄ TWARZĄ

Kto jak ja wierzy, że poza istotą płynną instytucji
pozbawionych

wszelkich ram,
co jest dla mnie jedynie poznawalne, istnieje
coś samo w sobie, poznawalne przy pomocy
kategorii absolutnych, ten ma prawo oczywiście
umieszczać w świecie zjawisk przy pomocy
zdań drukowanych tłustymi czcionkami
i wykluczających wszelki sprzeciw.
Lecz przekonać zdołała one tylko tych, którzy
posiadają tę samą wiarę, co ja ich wynalazca.
W zwierciadle ludu moje odbicie, stąd
ludu tego osobowość.

Nieczesto bywam — czego żałuję — na przedstawieniach dyplomatycznych Wydziału Aktorskiego PWSFTvIT. Jeszcze rzadziej — bo prawie wcale — pisuję o nich. O ile szczerze zeznanie na pierwszą okoliczność sprawiłoby mnie w zakłopotanie, to jeśli chodzi o okoliczność drugą, mam na swoje usprawiedliwienie sporo. Przedstawienia szkolne służą przede wszystkim szkole — są dla pedagogów (a nie dla recenzentów) sprawdzianem tego, czego młody człowiek nauczył się przez cztery lata. A ponieważ jest to szkoła, a nie teatr — niekoniecznie każda postać w takim spektaklu jest grana na miarę możliwości adepta. Bywa — bo „rok” jest przypadkowym zbiorem studentów, że ktoś jest obsadzony wbrew warunkom — po to, aby przedstawienie mogło dojść do skutku! Aby sprawdzić się mógł ktoś inny; w kolejnym „dyplomie” tego samego roku może być na odwrót. Wiedzą o tym pedagogowie, ale niekoniecznie o każdym z takich niuansów muszą wiedzieć recenzenci. Dlatego też (a są i inne powody — jak choćby naturalne w warunkach szkoły ograniczenia inscenizacyjne, kostiumowe itp.) wyszczególniam się raczej pisania o tych przedstawieniach, obawiając się pochopnych, niekiedy wręcz niesprawiedliwych ocen, o jakie w takiej sytuacji łatwo.

Przelamałem jednak te swoje obawy po obejrzeniu „Snu nocy letniej” Szekspira w wykonaniu studentów IV roku Wydziału Aktorskiego PWSFTvIT. Powody są takie: koncepcja inscenizacyjna Krystyny Meissner oraz scenografia Ryszarda Strzembala mieszczą się doskonale w warunkach sceny szkolnej, ba — jej ograniczenia wykorzystują jako atuty.

Po drugie — tak się szczęśliwie złożyło, że o tym przedsięwzięciu da się pisać wyłącznie dobrze — nie ma więc niebezpieczeństwa, że się komuś wyrządzi mimowolną krzywdę. Po prostu spektakl mi się podobał, a wyznam, że były chwile, w których siedziałem podczas niego jak urzędujący.

Uroczą komedię Szekspira, której realność w sposób naturalny przechodzi w fantazję, a dosłowność w poezję, trafiła widać do

przekonania młodym ludziom, skoro umieli wyczarować na scenie senną, bez dekoracji i rekwizytów — mając do pomocy tylko (świetną zresztą) muzykę Tomasza Ochalskiego i skromne (aczkolwiek dobrze pomyślane) kostiumy — całe Ateny i „pobliski gaj”. Pomogła w tym umowność szekspirowskiego teatru, tak silnie zaznaczona w sztuce o Pyramie i Tyzbe, ale nie mniejsze znaczenie ma sugestywność, z jaką młodzi aktorzy wpływają na widownię, której przestaje przeszkadzać, że nie ma na scenie domu w Atenach, nie ma drzew, wśród których blakają się kochankowie, że jest „tylko” teatr oraz jej i aktorów wyobraźnia.

Nie chciałbym jednak wywoływać wrażenia, że przedstawienie jest genialne. W spektaklu, który oglądałem — 20 bm. — z pewnym trudem rozkręcały się pierwsze sceny, a i — już bliżej

SEN JAK ZE SNU

finalu — wyraźnie rozbity był „teatr w teatrze”. Tu nie starczyło już adeptom aktorskiego rzemiosła, a — być może — po prostu zmęczenie wywołane brawurowymi scenami w gaju wywołało w nich spadek napięcia i dlatego dwór Tezeusza stracił błyskotliwość w ciętych uwagach i ripostach. Odnawiają to powodowany jednak raczej skrupulatnością niż rzeczywistą potrzebą — ogólne bowiem wrażenie wywołane przez spektakl jest bardzo, ale to bardzo dobre. Cieszy umiejętność mówienia wiersza, cieszy dobra — w większości dykcja, cieszy sprawność fizyczna i utanczenie tego zespołu młodych ludzi.

Nazwisk ich jednak nie będzie. Oglądałem jedną z dwu — a w niektórych wypadkach i z trzech obsad. Sumienie nie pozwala mi wymienić tych, którzy wyróżnili się akurat w tym zestawie

obsadowym — być może ich koleżdy z obsady równoległej są jeszcze lepsi, a ja już nie będę miał okazji napisać o nich w związku ze „Snem”? Wzbaczcie zatem, że na razie chwalebny Was anonimowo, na pewno niedługo będą powody, aby wymienić Wasze nazwiska bez żadnych już wyrzutów sumienia.

Jest to przedstawienie nietypowe nawet jak na warunki szkolne — Krystyna Meissner nie jest pedagogiem, lecz po prostu gościnnie zaproszonym reżyserem. Rzadki to, a bodaj i pierwszy tego rodzaju w PWSFTvIT przypadek. Jak się jednak wydaje — i szczęśliwy. Zazwyczaj przedstawienia dyplomatyczne przygotowują pedagodzy, znający swych wychowanków na wszystkie strony. Tutaj dyplomanci zetknęli się z reżyserem z zewnątrz, który, poza wszystkim, chciał zrealizować także swoją koncepcję inscenizacyjną. Musieli się młodzi ludzie powspierać również w tę koncepcję, musieli, jak sądzę — wykazać większą samodzielność i inwencję w pracy nad rolami.

Trudny ten, bliższy już teatru egzamin, wypadł — zdaniem moim, jako reprezentanta publiczności — nad wyraz pomyślnie. Sądzę, że „Sen nocy letniej” 1979 jest jednym z tych przedstawień łódzkiej szkoły, które warto by zaprezentować nie tylko na szkolnej scenie. Jak słyszę, planowane są spektakle w Teatrze Dramatycznym w Opolu, który pomógł w zrealizowaniu łódzkiej premiery. Warto by „Sen” zmieścić także na którychś z łódzkich scen. Sądzę, że najlepiej by się do tego nadawała Mała Scena Teatru im. Jaracza. Niczego jednak nie chciałbym narzucać dyrektorowi Hussakowskiemu...

JERZY KATARASIŃSKI

W. Szekspir, „Sen nocy letniej”, przedstawienie dyplomatyczne Wydziału Aktorskiego PWSFTvIT w Łodzi. Reżyseria — K. Meissner, scenografia — R. Strzembala, muzyka — T. Ochalski, ruch sceniczny — Leszek Czarnota, praca nad słowem — Grażyna Matyszkiewicz. Premiera 20 października 1979 r.

DWIE LUSTRZANE SCENY

Do prezentacji dwóch jednoaktówek Dimitrego Frenka-Franka „Lustro 1” i „Lustro 2”. Redakcja Teatru Telewizyjnego zaprosiła nie teatrologa, lecz dziennikarza, wybitnego zresztą publicystę Wiesława Górnickiego. Zakenowany tym występem w nie swojej roli Górnicki usprawiedliwił się, że w obu scenach występuje identyczna sytuacja wyjściowa: dziennikarka pragnąca przeprowadzić wywiad ze znanym pisarzem.

Tak więc profesjonalne okoliczności fabry zostały w ten sposób szczególnie uwypuklone, a nawet pewną weryfikację ze strony eksperta. Mam wątpliwości, czy było to potrzebne.

Nie sądzę, by oba dialogi należało ocenić od strony warsztatu i obyczajów dziennikarskich. Wiadomo, że w krajach kapitalistycznych, gdzie we wszystkich dziedzinach życia społecznego panują specyficzne, rynkowe prawa konkurencji i bezwzględnej konkurencji, wywiad dziennikarski oznacza coś innego, niż dajmy na to u nas. Spełnić on może rolę rozmaitą, stanowić czynnik reklamy dla osoby, z którą interview się przeprowadza, albo też skandalizować, kompromitować tę osobę. Stąd tendencja do przeprowadzania wywiadów „na ostro”, nieoszczędzania rozmówcy, stawiania go w trudnej sytuacji.

Ale ta cała profesjonalno-dziennikarska otoczka poniedziałkowego widowiska wydaje mi się drugorzędna. Wbrew pozorom nie sprawy dziennikarskie, ale zderzenia przeciwstawnych postaw ludzkich stanowią nadrzędną intencję autora przy pisaniu obu „Lustrow”.

W przypadku jednoaktówek Frenka-Franka, współczesnego pisarza holenderskiego, mamy do czynienia nie tyle z pogłębioną refleksją, ile z mistrzowsko prowadzonym dialogiem, stwarzającym okazję do świetnych kreacji aktorskich. Byłoby jednak błędem sądzić, że maestria dramatyczna autora ułatwia wykonawcom zadanie. Nie! Nie mamy tu do czynienia z żadnym samograjem. Zarzykuję twierdzenie, że nie mając do dyspozycji Jadwigi Jankowskiej-Cieślak i Zbigniewa Zapasiewicza, reżyser Jan Kulczyński nie uzyskałby tak urzekającego efektu ekranowego.

Dojrzałe aktorstwo Zapasiewicza nie po raz pierwszy świeci wielki triumf. W ciągu ostatniego

dziesięciolecia (chyba można przyjąć taki przedział czasowy) aktor ten rósł w naszych oczach z roli na rolę, i to zarówno w teatrze, w kinie („Barwy ochronne”, „Bez znieczulenia”), jak i w telewizji. Trudno wprost stwierdzić, która z tych trzech płaszczyzn wypowiedzi przyniosła aktorowi większy sukces.

Jak scharakteryzować w paru słowach warsztat aktorski Zapasiewicza? Pierwsze stwierdzenie to chyba to, że cechuje go prostota środków, abstrahowanie od wszelkiego pozerstwa i maniery. Będąc aktorem w pełnym tego słowa znaczeniu nowoczesnym, nie manifestuje tej nowoczesności w warstwie zewnętrznej. Z rzetelnością i szacunkiem dla zdobytych tradycji aktorstwa przetrzega sprawnej i nienaganej formalnie wypowiedzi scenicznej czy ekranowej.

Gdzie zatem kryje się nowoczesność w grze Zapasiewicza? Uważam, że potrafi on ucieleśniać wielki zasób doświadczeń naszego pokolenia, zarówno tych przynoszących nam satysfakcję, jak i tych gorzkich. Umie ukazać współczesnego inteligenta w jego upadkach, spowodowanych kryzysem wielu wartości moralnych i etycznych. Docent z „Barw ochronnych” będzie tego klasyczną egzemplifikacją.

Daleki jestem od wyczerpania tematu, ale do brym prawem felietonisty jest zaledwie dotknięcie problemu i pozostawienie go za plecami nie domownikom. Spieszę teraz, by dokonać próby oceny aktorstwa Jadwigi Jankowskiej-Cieślak, aktorka, która w tym roku świętowała datę, a przecież godnego baczej uwagi!

Jankowska-Cieślak należy do grona najbardziej obiecujących młodych aktorek polskich. Mimo że od debiutu nie dzieli jej aż tak wiele lat, ma już w swoim dorobku artystycznym liczne, wspaniałe sukcesy.

Nie jest to aktorka obdarzona wielką urodą, a przecież jej wdzięk i prostota oznaczają coś znacznie trwalszego niż urok właściwy młodości. Należąc do generacji, dla której przeżyła wojenne znane są z przekazów z drugiej ręki, potrafiła w widowisku telewizyjnym „Jej piękny dzień urodzin”, opartym na listach Krystyny Witulskiej, stworzyć wstrząsający obraz tragedii młodego pokolenia w czasie wojny. Jest w aktorstwie Jankowskiej-Cieślak stałe piękno dezaprobaty dla brutalności współczesnego świata i dążenie do uratowania najcenniejszych wartości humanistycznych.

Zapasiewicz i Jankowska-Cieślak skonfrontowali w jednym widowisku. Czy trzeba czegoś więcej?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„ULICZNIKA PŁASKA”

Nie z „tych” rzeczy Tytuł felietonu, który mógł zainteresować wielu zapowiadają pikantnych dwuznaczności, zapożyczony z kolekcji Leszka Mazana. Chodzi tu o najwykłębszą brzoźwą miotłą do zamiatania podwórka i ulic z czasów, gdy istnieć jeszcze dozorycy. Iż w tym semantycznym pomysłcie sugestii dla psychoanalizy, którzy zechcieliby się zająć nawiązanymi sekcjami naszej drobnej wytwórczości. Wracając do Leszka Mazana z ostatniego „Studio 8”, dziennikarza, który z uporem godnym lepszej sprawy tropi rozprzestrzeniające się językowe i administracyjne głupstwo, można zauważyć jedno: warto byłoby się zastanowić nad przyczynami, jakie decydują o tym, iż możliwy jest w naszym rodzajnym kraju taki napór zakazotwórczej oraz językowej bzdury. Cóż z tego, że się pomniemy i powzruszamy z uciechy ramionami, gdy następnego dnia, w sklepie, kupując rakewki dla dziecka, dowiemy się ze zgrozą, iż zapakowano nam „bepki dziecięce”. Mam świadka.

Samo „Studio 8”, zwłaszcza to ostatnie, też jak-kość wchodzi nie w kierunku zgodnym z rozkładem jazdy. Miałoby być, i bywało, programem, który demokratycznie dopuszczał do głosu (i obrabiał) twórcze osiągnięcia regionalnych ośrodków telewizyjnych. Najistotniejsze było i to jeszcze, że ośrodki te mogły wypowiadać się własnym głosem, a nie w opracowaniu redakcyjnym rozmaitych huczałych instancji z Włoczyca. Programowa zasada warietatu polega przecież i na tym, aby w równym stopniu przedstawiało to, co się dzieje w Warszawie i w Jeleniej Górze. Wówczas Roman Szydłowski nie powie (a usłyszymy to w sobotę), że „rzecz niebywała, aby w tak małym miasteczku, daleko od Warszawy, narodziła się sprawa tak niesłychanie ważna”. Cytat ten pochodzi z króciutkiego reportażu, na temat festiwalu teatralnego, który odbył się właśnie w Jeleniej Górze. Nie o ten festiwal tu chodzi, ani nie o konkretny przykład. Zresztą Roman Szydłowski mówił o jeleniogórskiej inicjatywie z aprobatą i sympatią. Rzecz w tym, że „Studio 8” zamienia się w rozrywkowy magazyn w którym Afric Simon walczy o lepsze z innym cyrkowym ekwilibristą. A udział poszczególnych ośrodków w programie kończy się na prezentacji regionalnej egzotyki. Niechaj i to będzie, ale w jakich rozsądnych proporcjach.

I znów „Sytuacje rodzinne”. W tym tygodniu obejrzelismy film Zbigniewa Kamińskiego „Nie-

wdzięczność”. Warto, z rozmaitych względów (o czym za chwilę), pochylić się nad tym najnowszym dziełem głębiej. Zastosujmy eksperyment i zrekonstruujmy proces powstawania filmu. Najpierw scenariusz. Ponieważ ma to być „sytuacja rodzinna” — myśl twórcza — spróbujmy zastanowić się nad takim pomysłem. Matka, Zaborco i egoistycznie kocha swoją córkę. Ta trochę bezwzględnie poddaje się rozmaitym (szczególnie późnej) szantażom psychicznym. Zrab dramatu gotowy. Ach, ta córka powinna być uwikłana w jakiś tragiczny wybór. Ale bez przesady. Kocha matkę, kocha i męża, którego teściowa nie akceptuje. Wszystko. Jakichś dialogi i można zrobić film. Ponieważ akcji mało, trzeba będzie pomyśleć o wypróbowanych akcjach. Dobry aktor zagra każdą sytuację. No tak — duma dalej twórcza — schemat ten wykorzystujemy był już na najrozmaitsze sposoby. Dodajmy mu więc nieco szlachetności. Matka niechaj będzie pianistką-wirtuozką, której ojciec na przykład wojną (świetnie!) przeszkodził w karierze. Swoje marzenia (może niezasadne — ta komplikacja się przysła) przelała na córkę, której nie stało talentu. Ten wątek podbuduje i podtrzymuje tamten. Ale zaraz, już był taki film, no — tego — Bergmana, „Sonata jesienna”. Passons — mało kto go widział. Zresztą tu chodzi o „Sytuacje rodzinne”, w tym nie wiadomo o co. I tak powstał film. Warsztatowo składny. Dobre role Antoniny Gordon-Góreckiej i Beaty Tyszkiewicz. Tyle tylko, że od początku do końca dominuje w tym filmie pustka, której nie są w stanie wypełnić arystokratyczne osobowości obu aktorek. Ani ów Włodek w finale. Jedynie, co po obejrzeniu tego filmu zostaje w pamięci, to postać starszki plebejskiej i zwa, która oczekuje w szpitalu na dom opieki. Jej dramat i jej biografia mogłyby dać materiał do scenariusza filmu, który — jak można sądzić — byłby bliższy rzeczywistości.

Na koniec jeszcze o „Post scriptum” do „Korzeni”, które miało być odpowiedzią na „dziesiątki listów” zainteresowanych serialem widzów. Grzegorz Lasota odezwał referat. Zabrał głos eksperci. Potwierdził hollywoodzki szlif filmu, mówili o „świadomości dokonanych fałszerstwach”, o sprzecznościach i niekonsekwencjach kulturowo-obywatelskich. Czyli potwierdzili powszechną o serialu opinię. A informacje o tym, jakie Haley prowadził studia, jakimi dokumentami historycznymi się posłużył, są całkowicie zbędne. Wartości serialu to nie podnosi, wprost przeciwnie, bo okazuje się, iż historia i prawda niewiele, z tym co oglądamy na ekranie, mają wspólnego. Zgadza się z Lasotą, że powinniśmy być wyrozumiali do upodobań i gustów innych ludzi. Jednakowoż telewizja te upodobań i te gusty winna kształtować i to nie wedle kryteriów wyrozumiałości. A 60 procent ocen dobrych dla tego serialu nie jest żadnym rozgrzeszeniem.

GRZEGORZ GAZDA

ZOBACZYĆ ŚWIAT SAMEMU



Marian Jaeschke: „Autoportret”.

Foto: R. Łuczyszyn

W salonie BWA mieszczą-cym się przy ulicy Piotrkowskiej, w ramach imprez przygotowanych na Tydzień Plastyki Łódzkiej otwarta została wystawa malarstwa znanego artysty, żyjącego i tworzącego w Łodzi Mariana Jaeschkego. Twórca zgromadził na niej prace pochodzące z dwu ostatnich lat 1978 i 1979. Ich wielość świadczy o ogromnych możliwościach twórczych malarza, który z niezwykłą konsekwencją realizuje swój program estetyczny, doprowadzając do perfekcji bliskiej klasyfikacji, formę malarską kwalifikowaną przez historyków sztuki jako koloryzm postimpresjonistyczny.

Zanim zajmiemy się określeniem związków malarstwa Mariana Jaeschke z polskim koloryzmem należy przypomnieć początki drogi twórczej artysty.

W latach 1924—1930 studiował on w ASP w Krakowie w pracowni Wojciecha Welssera oraz Felicjana Kowarskiego, później w okresie od 1930 roku do 1933 w ASP w Warszawie. Wtedy to właśnie kształtowały się podstawy jego artystycznej indywidualności, albowiem naczelnym problemem sztuki z kręgu najpierw kapistów, a potem twórców ugrupowania PRYZMAT, którego Jaeschke był w 1931 roku współzałożycielem, stanowił kolor. Artyści zgrupowanych w „PRYZMACIE” różniło od kapistów

traktowanie koloru nie jako celu samego w sobie, ale jako najbardziej adekwatnego środka wypowiedzi malarskiej, wyrażającego stosunek twórcy do natury.

Związek pomiędzy wrażliwością w obserwacji natury, a prawdą artystyczną, malarską kultura, rzetelnością warsztatu widoczny jest w twórczości M. Jaeschkego wyraźnie. Artysta nie respektuje treści literackich czy nadrealistycznych, pozostaje przy czystym gatunkowo pejzażu, martwej na turze, portrecie i autoportrecie.

— Świat trzeba zobaczyć samemu. Przez własne doświadczenia wykorzystywać wszystkie możliwości środków malarskich, żeby oddać specyfikę danego rodzaju i gatunku sztuki — mówi artysta. — Łatwo jest przenosić obce wzory, ja staram się być uczciwy wobec siebie. Nie tylko studenci mówili: „My czekamy, aż Jaeschke się zmieni”. Ale ja choć mógłbym malować inaczej, nie chcę, muszę być autentyczny.

Stajemy wobec malarstwa Mariana Jaeschkego na nowo urzeczony jego światem. Nasz świat, bogaty technicznie i kulturowo, absorbuje nas tak dalece, że natura stała się „ralem utracionym”, bezpośredni z nią kontakt mamy bardzo rzadko. Jaeschke swoim malarstwem uczy nas widzenia i rozumienia natury na nowo. Jego obrazy przepojone są

rozwibrowanym światłem i subtelną barwą pełnej gamy kolorów. Artysta, przedstawiając wybrany fragment rzeczywistości nie traktuje go naturalistycznie. Poprzez analityczność środków formalnych dochodzi w rezultacie do syntezy przedmiotu, pejzażu, portretu czy martwej natury. Modelunek formy kształtuje operując, jak postimpresjoniści krótkimi pociągnięciami pędzla, drobnymi plamkami farby układającej się w większą, zróżnicowaną kolorystycznie plamę. Plama, tak jak i światło, obecna jest wszędzie, llnia zaś zarysowana wyraźnie tam, gdzie następuje, jak powiedział twórca, kontrastowe spotkanie formy z formą. Plama wibruje, faktura obrazu zmienia się w zależności od działania plamy. Pomiędzy punktowymi plamkami miejscami są prześwity, aż do bieli podkładu malarskiego. Daje to dodatkowy efekt, służy spotęgowaniu działania światła. Nie ma tego w obrazach o tonacji ciemnej, z przewagą ugrów i fioletołów. Kolor w malarstwie M. Jaeschkego zastępuje walor, nawet cień jest kolorem, a nie czernią. Najlepiej widać to w martwych naturach, które sytuuje przed szybą okna. Tak działając barwą i światłem, osiąga on w swoim malarstwie daleką głębię przestrzeni.

Wszystkie środki formalne powodują swoistą dla tej sztuki ekspresję. Przedmioty nie są statyczne i wydają się jakby nieuchwytnie, drżą, są ulotne i kruche, balansują na granicy scalania się i rozpadania kształtów, co nadaje im wymiar poczasowy, zawierają w

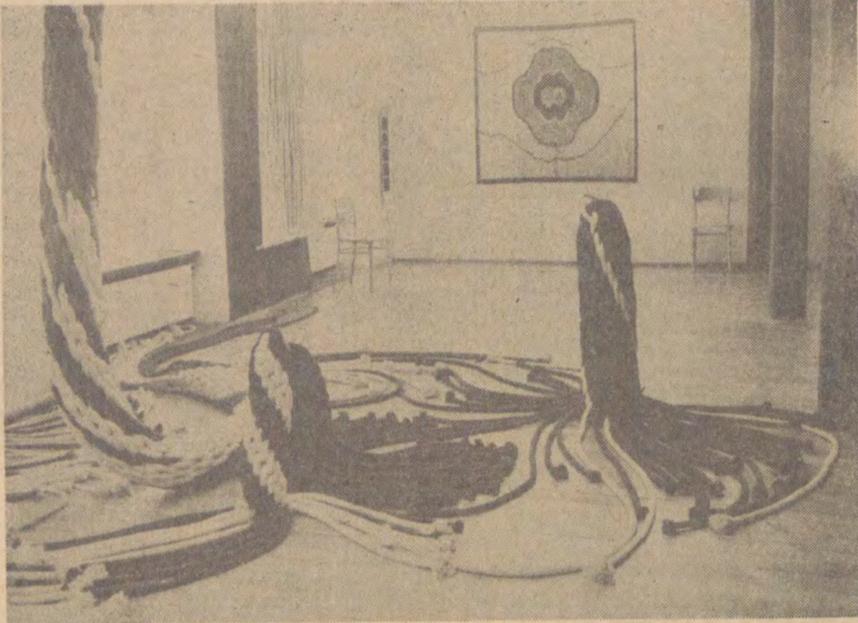
sobie istotę fenomenu, jakim są dla artysty.

Marian Jaeschke, jako profesor łódzkiej PWSSP, wychował wielu już dzisiaj interesujących artystów, z których żaden nie przejął od nauczyciela jego warsztatu; znajdują się nawet w stosunku do niego w opozycji. Fakt ten potwierdza tylko, jak wielką osobowością twórczą jest M. Jaeschke, który spowodował, że jego uczniowie mają odmienne wizje sztuki, ale przejęli od niego pasję twórczą i poczucie wiary w sens i cel twórczenia. On sam nie rezygnuje ze swoich racji nigdy. Czynione mu są z tego powodu zarzuty. Czy jednak słuszne? Artysta ma prawo pełnego twórczego określenia się wobec rzeczywistości i sztuki. M. Jaeschke czyni to w wyniku świadomego wyboru, a konsekwencją tego jest jego narastające osamotnienie, nie mieści się już bowiem w żadnej z aktualnych tendencji. Jego sztuka jest sztuką odchodzącą, może bardziej związaną z historią, niż ze współczesnością.

Stwierdzić jednak należy stanowczo, że niesie ona ze sobą wartości trwałe, do których należy przekonanie, iż malarstwo jest ważnym rodzajem spośród aktów percepcji, poznawania i przedstawiania świata.

Jeśli ukaże się wreszcie, a czas już najwyższy na historyczne opracowanie, monografię polskiego koloryzmu, Marian Jaeschke i jego sztuka powinny zająć w niej należne im miejsce.

MARIA KEPIŃSKA



W Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi otwarta została ekspozycja „Tkaniny szwajcarskie — artyści dnia dzisiejszego”. Wieloznaczny tytuł ekspozycji wymaga pew-

nych wyjaśnień. Wystawa ukazująca prace 27 artystów nie może być rozumiana, jako przekrój dorobku tkaczy szwajcarskich, lecz jako reprezentatywny wybór.

TKANINY SZWAJCARSKIE

Głównym celem wystawy jest prezentacja obecnej sytuacji w tkaninie szwajcarskiej. Szwajcaria nie ma tradycji sztuki tkackiej, uważanej tam

diugo za podrzędną, czy dekoracyjną. Brak tradycji nie stanowi jednak obecnie przeszkody w rozwoju tkactwa artystycznego, a może nawet być jej

nie negując wcześniejszych osiągnięć i wkładu niektórych artystów, wśród nich „wielkiej damy” sztuki szwajcarskiej Elsi Glaouque, trzeba powiedzieć, że nie znana do niedaw-

na tkanina szwajcarska przeżywa już od co najmniej 15 lat gwałtowny rozwój, a twórcy tego kraju nie są odizolowani od najnowszych kierunków panujących we współczesnym tkactwie artystycznym, uczestnicząc w międzynarodowych wystawach tkanin unikatowych odbywających się zarówno na terenie Szwajcarii, np. Międzynarodowe Biennale Tkaniny Artystycznej w Lozannie, jak też w innych krajach.

Na III Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej — Łódź 78, wystawiały swe prace m. in. Elsi Glaouque, Francoise Grossen, Verena Volret, których tkaniny można obejrzeć na obecnej ekspozycji.

Tkaniny przedstawione w Centralnym Muzeum Włókienn-

nictwa ukazują różnorodność technik, kierunków i użytych materiałów, jakimi posługują się artyści tkacze, dążący do uznania i ewolucji tej sztuki. Mamy tutaj tkaniny robione na krosnach poziomych i pionowych, technikę macramy, haf-tu i dziewiarstwa, tkaniny dwuwymiarowe i przestrzenne, kontrasty bieli i czerni, jed-nobarwne i kolorowe. Ta róż-norodność, wynikająca z ciąg-łych poszukiwań, stanowi w pewnym sensie o odrębności i jednolitości artystów szwajcar-skich, dążących do obalenia wszelkich różnic i dystansów, otwarcia swej kultury.

Obok eksperymentów z ma-teriałem, jakie uprawia Marli-se Staehelin, mamy również tradycyjne tkaniny ściennie, ro-bione przez Rosemarie Koczy. Praca M. Staehelin „NEWS Avalanche” — „Lawina wiadomości”, zrobiona z plastiku, fo-tografii i starych gazet, umo-żliwia artystce wypróbowanie nowych środków wyrazu i no-wych możliwości technicznych. Na wystawie obecne są także kompozycje trójwymiarowe El-si Glaouque, jednej z pierwszych, która zaczęła realizować struk-tury tego typu już w 1945 roku oraz przestrzenne Marianne Kirchhofer, zainteresowanej wolno stojącą, szerokokop-zierną kompozycją i Clary Kuchty, nasuwające nieodparte skojarzenia ze sztuką użytko-wą, piękną w swym artystycz-nym wyrazie i formie.

Bardzo ciekawe są prace Li-selotte Siegfried, prawdziwie cu-da w miniaturze. Mikrokosmos jej prac wprowadza nas w za-czarowane ogrody baśni i snów, w świat śnieżnobiałej czystości, w który wpada ciepły i pogod-ny promień światła, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy. O-bok tych miniatur tekstylnych, monumentalne niejako w swej formie i treści dzieło Akiko Sato „Modlitwa”, ukazujące złożone w błagalnym geście dionie. Widać tu dojrzałość ar-tystyczną, doskonale współ-brzmienia formy i treści oraz bogactwo rozwiązań formal-nych. Użyty materiał i wywo-lane wrażenie harmonizują ze sobą doskonale, uzupełniają się jakby, potęgując jeszcze dodat-kowo siłę wyrazu artystyczne-go. Akiko Sato, z pochodzenia Japonka, potrafi cudownie wy-korzystać bogactwo doświad-czeń japońskiej sztuki tkackiej, a pracę swą traktuje nie jako eksperyment plastyczny. Widzi w niej własny środek wyrazu, równouprawniony z innymi ro-dzajami sztuki, często nawet przewyższający je, ponieważ ich wizualne piękno mogą odbierać poprzez dotyk ludzie niewidomi, którym poświęconych jest wiele jej prac.

ANDRZEJ KUBICKI
PIOTR JAWORSKI

Foto: A. Wawrzyniak

Dzisiejsi ludzie zanadto żyją na oczach publicznych, za mało by-wają samymi sobą. Ujęcie samo-go siebie swoimi najlepszymi my-ślami i niech nikt o nich nie wie.
Karol Irzykowski

wierszami), że jest przecież świadom, iż to on właśnie, Hamilton, wygląda wobec rze-czywistości jak mrówka wobec gigantycznego buldożera.

Felieton jest gatunkiem modnym, u nas nawet bardzo modnym. Istnieją rzesze zwy-kiych wyrobników felietono-wych, istnieją też arystokraci tego gatunku. Ci rozlokowali się głównie w tygodniakach, zwłaszcza tych „centralnych”. Ale arystokrata arystokracie nierówny, w czasach demokra-tycznych w szczególności. Nie właśnie, który z funkcjonują-cych na czytelnickiej gładzie felietonistów potrafi stworzyć swój naprawdę odrębny styl, narzucić własny sposób przed-stawiania rzeczywistości, wbić

1.
Felieton jest gatunkiem modnym, u nas nawet bardzo modnym. Istnieją rzesze zwy-kiych wyrobników felietono-wych, istnieją też arystokraci tego gatunku. Ci rozlokowali się głównie w tygodniakach, zwłaszcza tych „centralnych”. Ale arystokrata arystokracie nierówny, w czasach demokra-tycznych w szczególności. Nie właśnie, który z funkcjonują-cych na czytelnickiej gładzie felietonistów potrafi stworzyć swój naprawdę odrębny styl, narzucić własny sposób przed-stawiania rzeczywistości, wbić

HAMILTON CZYLI ROZMÓWNIKA POLSKA

2.
Hamilton — felietonista popularny. Hamilton — felieto-nista elitarny. Zakrawa to na paradoks i jest nim w grun-tach rzeczy, bowiem „Perswa-zje” oparte są właśnie na pa-radoksie, na kontrastach i sprzecznościach, z jakich skła-da się natura ludzka. Jakże więc łatwo przechodzi Hamil-ton od metafizyki do drobnych bolączek dnia codziennego, jak chętnie przeciwstawia symboliczne postacie prałata Kaczyńskiego innym symbolom: Mucusiowi, Nierodzikowi i Tatce, jak często demaskuje subkulturę i tandetę. Hamil-ton lubi posługiwać się mitem, przeważnie zresztą sam two-rzy mity na użytek „Perswa-zji”, konkretny bywa przeważ-nie wówczas, gdy kogoś zaczepia. Jako polemista bywa ostry i brutalny, bez cienia szacunku wali przeciwnika na odlew. I to nie rękawiczka, a pięścią.

3.
Rzeczywistość traktuje jak materiał miękkły, na przykład gips czy plastelinę, z materia-łu tego stara się ukształtować wizję własną, odrębną, swoi-ściami, groźną, groteskową czy tylko dowcipną — w zależnoś-ci od zamierzonego efektu. Niekiedy tylko można wyczy-tać (a i to raczej między

nie wyjść z rytmu, ale jeszcze bardziej trzeba uważać, by nie wejść w kierat”. Brzmi to zło-wieszczo. Brzmi to jak prze-stroga. Brzmi to jak uspra-wiedliwienie.

4.
Hamilton pisze swe felietony na serwetkach w kawiarni, niekiedy dyktuje sekretarce. Byłoby dobrze, gdyby i recen-zja ze zbioru jego felietonów mogła powstać w podobnych okolicznościach. Niestety dyk-tować nie mam komu, muszę więc z konieczności udać się do kawiarni. Ale na prowincji kawiarnie gorzej, to znaczy lokale może nie, tylko gorzej z ich okien widoki, inna per-spektywa, choć sprawy kto wie czy nie takie same.

5.
Dla Hamiltona najważniej-szy jest właściwie moment pi-sania. Jest on kreacją i pozna-niem jednocześnie: „Zanim za-cznę pisać, wiem, co chcę napisać; w trakcie pisania, z samego aktu pisania, dowiada-je się, czego jeszcze nie wiem”. Pisanie to poznanie, poszukiwanie motywów wybo-ru, próba określenia sytuacji, która wypycha nas raz w drzwi znajdujące się po lewej stronie. Innym zaś razem w drzwi po stronie prawej.

O czym marzy Hamilton?
„Gdyby miało się okazać, że ja nie jestem autorem niniej-szych tekstów, jedynie narra-torem wymyślonym przez au-tora młodszego ode mnie o połowę, o doświadczeniu ży-ciowym i politycznym grubo ode mnie mniejszym — to był-by to dzień w literaturze pol-skiej unikat. Czasem marzę, czy te marzenia mają szansę kiedykolwiek ziszczyć się. Ale i bez tego jest Hamilton unika-tem w literaturze polskiej. Choćby z tego powodu, że wszelka stylizacja nie eliminu-je z jego tekstów zdrowego rozsądku, tego rozsądku, na nadmiar którego nie cierpi na-sza literatura. I chyba nie tylko literatura.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Hamilton, Drzwi na lewo, drzwi na prawo. Felietony z lat 1972 — 1975. Państwowy Instytut Wydaw-niczy. Warszawa 1975, nakład 30 000 + 315 egz., ss. 340, cena zł 25,—

Richard Arthur Warren Hughes, urodzony w 1900 roku pisarz angielski. Studiował w Oksfordzie i jeszcze jako student napisał jednoktowa sztukę teatralną „Tragedia słońca”. Również w o-kresie studiów wydał pierwszy tomik poezji „Noc cygańska”. Po ukończeniu studiów Hughes wyrusza na wędrowną po świe-tle: Bałkany, Stany Zjednoczone i Antyle. Kanada, Maroko, pływa także po morzach i oceanach, służąc na statku jako pro-ty marynarz. W roku 1929 pisze pierwszą powieść „Orkan na Ja-majce” w 1938 drugą — „Huragan”. Obie przyniosły pisarzowi sukces i sławę. Wydał także dwa zbiory opowiadań dla dzieci. „Orkan na Jamajce” jest książką niezwykłą, zabawna, a jed-noześnie jadowita. Akcja powieści toczy się w epoce wiktoriań-skiej na statku piratów, którzy wraz z łupami z zagrabionego statku zabiera ją dzieci. Lecz wbrew utartym schematom, piszeł o swym dobrodusznym, anachronizmi i wręcz bezradni, a dzieci — w swej niewinności — stanowią siłę niszczącą. Książka ta ukazuje irracjonalny, nieprzenikniony i amoralny świat dziecka ale za-razem jest satyrą na porządek rzeczy ustalony przez dorosłych.

Richard Hughes, „Orkan na Jamajce”, przekład: Ariadna Dem-kowska-Bohdziewicz, Kiw, W-wa 1975, str. 288, cena zł 14.

ECHO WOJNY. NIE MA POWROTU

Za książkę „Echo wojny. Nie ma powrotu” Ana-tolij Kalinin otrzymał nagrodę RFSRR im. Maksyma Gorkiego. Książka składa się z dwu mikro-powieści. Akcja obydwu toczy się w odległej od miasta stolicy nad Do-nem, dotyczy epizodów z czasów wojny, z których każdy ma swój dalszy ciąg w życiu bohaterów.

Warwara Tabunszczikowa pomagała podczas okupa-cji swoim synom-policjan-tom. Pokazała Niemcom, gdzie ukrył się radziecki wywiadowca. Po wojnie, ze względu na swój wiek i niedostateczną ilość świadków została uwielbiona. Jeden z synów — policjantów zginął, osłaniając Niemcom uciekącą dru-gą poddał się i siedzi w więzieniu. Matka została w stolicy z niedużą córką. Minęły lata, ludzie zaczęli już zapominać o dziele się w stolicy przy końcu wojny córka dorosła. Wyzła do stolicy przyjechała matka wydanego Niemcom przez Tabu-do szkiełką wywiadowcy. Ludzie przypomnieli sobie wszystko, do-szukiwała wywiadowcy. Ludzie przypomnieli sobie wszystko, do-szukiwała wywiadowcy. Ludzie przypomnieli sobie wszystko, do-szukiwała wywiadowcy.

takich jak on żołnierzy. Olga, pomimo, że także potępia matkę, to jednak kocha ją i nie może jej zostawić.

Podobny charakter ma drugie opowiadanie, analizuje również postawy ludzkie, pokazuje wierność i zdradę, egoizm i poświęce-nie, tchórzostwo i odwagę.

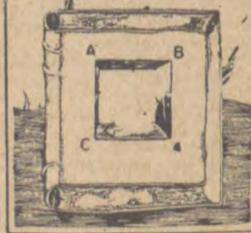
Anatolij Kalinin, „Echo wojny. Nie ma powrotu”, przekład Halina Klemińska, Kiw, W-wa 1975, str. 238, cena 20 zł.

ŚWIADKOWIE

Trzecią najnowszą książką Józefa Musiōła są relacje świadków przybyłych z Polski na terytorium w Düsseldorfie proces za-łożni Majdanka Józef Musiōł, doktor nauk w zakresie prawa i są-dzina, wydaje się być szczególnie predestynowany do tego typu pisarstwa. W roku 1977 wydał „Przesłuchanie”. Jest to wstrząsają-ca relacja ofiar pseudomedycznych zabiegów dokonywanych w obozach koncentracyjnych. Za „Przesłuchanie” autor otrzymał w roku 1978 specjalną nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Pol-skich.

Najnowsza książka „Świadkowie” ma, tak jak poprzednia, wie-le z reportażu. Zawiera fakty opisuje autentyczne wydarzenia towarzyszące procesowi w Düsseldorfie. Pozbawiona jest fabuły. Jej konstrukcja opiera się na wypowiedziach świadków tego pro-cesu, byłych więźniów Majdanka. W rozmowie z Musiōłem o-powiadają nie o przebiegu tego procesu, lecz o swoich przeży-ciach z nim związanych. Dla każdego z nich powrót do wyda-rzeń wojennych jest szokiem. Minęły lata, ludzłom tym udało się wrócić do świata żywych i prowadzić normalne życie. Zera-nia w procesie zmuszają ich do powrotu do obowoznego kosmosu. Już ten sam fakt jest dla nich potworny, a do tego dochodzi jeszcze specyficzna atmosfera procesu. Z jednej strony napastli-

Ex-LIBRIS ODGŁOSÓW



i niedostateczną ilość świadków została uwielbiona. Jeden z synów — policjantów zginął, osłaniając Niemcom uciekącą dru-gą poddał się i siedzi w więzieniu. Matka została w stolicy z niedużą córką. Minęły lata, ludzie zaczęli już zapominać o dziele się w stolicy przy końcu wojny córka dorosła. Wyzła do stolicy przyjechała matka wydanego Niemcom przez Tabu-do szkiełką wywiadowcy. Ludzie przypomnieli sobie wszystko, do-szukiwała wywiadowcy. Ludzie przypomnieli sobie wszystko, do-szukiwała wywiadowcy.

Niedawno nowy minister oświaty i wychowania spotkał się z przedstawicielami prasy. Nie uczestniczyłem w tym spotkaniu, ale dość wy-czerpująco relacje z owej konferencji skłaniają mnie do kilku refleksji.

Otóż z ogromną nadzieją i optymizmem przyjąłem wystąpienie Józefa Teichmy. Przyzwyczajeni — przynajmniej — nieco zirytowani dotychczasowymi tonami optymizmu, zatra-cającego nieraz o beztróskę, usłyszeliśmy ton rzeczowy.

Minister opowiada się za wprowadzeniem w życie szkoły dziesięcioletniej, ale równocześnie zaznacza, iż nie przywiązuje istotnego znaczenia do nazwy zreformowanej szkoły. Czy to będzie szkoła średnia, czy dziesięcioletnia powszechna szkoła ogólnokształcąca — naprawdę nie ma znaczenia. Ważne jest natomiast, aby ćwiczeń umysłowych nie wypierały ćwiczenia gimnastyczne, o czym pisałem swego czasu na tych łamach. Ważne jest to, aby niezrozumiałe ustalenia zestaw lektur nie odciągały młodego pokolenia od dziedzictwa literackiego naszej kultury.

Zasada przedłużenia wykształcenia ogólnego nie powinna być kwestionowana, może być natomiast sporna —

twierdzi minister — treść tego wykształcenia.

Dotychczas, czepląc się, jak pijany piotru, pustej nomenklatury — sprawy treści nauczania odsuwano jak gdyby na plan dalszy. Takie w każdym razie można było odnieść wrażenie. A przecież chodzi o to, aby system o-

stanowiska, zgody na dyskusję, niezgody na minimalizm i sytuacje nierozwiązalne.

A więc rzeczywiście można podjąć dyskusję nie będącą grochem rzuconym o ścianę. Jest bowiem o czym mówić i jest nad czym się zastanawiać. Opinię publiczną nadal bulwersuje sprawa podręczników

Minister twierdzi, że dzieci z klas I-III powinny uczyć się „u siebie”.

Bardzo słuszne to stanowisko. A swoją drogą, zawsze budził mój sprzeciw ów charytatywny sposób transportowania dzieci. Problem zrzucono na barki PGR, POM, urzędów gminnych, zakładów patronackich, PKS... Wszyscy mieli się tym zajmować, prócz ministerstwa, które ów paszety przyrzadziło.

Dlatego z taką wiarą i nadzieją na rozwiązanie tych spraw przyjąłem słowa ministra, który — cytując za „Życiem Literackim” — powiedział: „Nie chcemy przerzucać odpowiedzialności na zewnątrz — my jesteśmy odpowiedzialni”. Ministerstwo czuje się również odpowiedzialne za sprawę podręczników.

To są wszystkie sprawy do załatwienia na pewno niełatwe i na pewno nie do rozwiązania od zaraz. Dość długo lekceważono pełne niepokoję głosy publicystów i nauczycieli.

Lecz dość utyskiwać. Jest nadzieja na pomyślne posunięcie reformy dalej — na dopracowanie rozsądnej koncepcji ostatecznej.

WIDOK

OŚWIATOWE REFLEKSJE

światowy okazał się programowo równy dla całego pokolenia młodych Polaków.

Są w tej kwestii różne spory i naciski. Idea równości edukacyjnej rozmiąta się o pragmatycznymi potrzebami różnych resortów gospodarczych, które składają zapotrzebowanie na tanją, szybko wchodzącą do produkcji siłę roboczą. Minister nie podziela tego pragmatycznego stanowiska — broni zasady równości.

Stanisław Bortnowski, jeden z najzretelniejszych publicystów oświatowych, napisał w „Życiu Literackim”, że w wypowiedzi ministra Teichmy zabrzmiły tony konkretnych ustaleń, racjonalnej obrony najważniejszych pryncypiów z prawem do wycofania się ze

i sprawa dowożenia dzieci do szkół.

Jest publiczną tajemnicą, że tzw. szkoły zbiorcze zorganizowane są zaledwie w 80 proc. gmin i dalej ani rusz tego procentu nie można podwyższąć. Jest publiczną tajemnicą, że wyniki nauczania wskutek dowożenia dzieci „w kratkę” i w bardzo różnych warunkach oraz wskutek dużej straty czasu, sił i zdrowia uczniów — nie są najlepsze. Trzeba w ciągu najbliższych roku wybudować około 350 szkół gminnych — jest to raczej niemożliwe do wykonania, nawet w pięcioletce.

Minister twierdzi więc, że na wsi trzeba przyhamować wszelkie działania, które wydłużą drogę dzieci do szkoły.

GERARD PUCIATO



Pytało raz dziecko rezolutne: „Tato, Czy Gerard (Philippe) to Puciato?”

Rys: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

MITOLOGIA I FAKTY

W mistrzostwach Europy siatkarze zdobyli srebrny medal. Udowodnili, że nadal należą do grupy najlepszych drużyn europejskich. Ich sukces przeszedł jednak bez większego echa, gdyż wszyscy byli podnieceni kolejną środą piłkarską. W Kamieniu koło Rybnika na Bielanach przygotowywały się dwa nasze zespoły piłkarzy i wszystkich interesowało głównie meldunki o tym, co u nich słychać. Z Bielan napływały wieści bardziej optymistyczne, z Kamienia raczej ostrożne. W Warszawie mieliśmy wzięć rewanż za Pragę, w Amsterdamie miało być ciężko. Ale, jak twierdzili optymiści, dopóki piłka jest w grze, wszystko może się zdarzyć. No i zdarzyło się.

Publiczność na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie skandowała pytanie: Za co my płacimy? Sądzę, że pytanie to dotyczy nie tylko wydatku na bilety, ale miało znacznie szerszy kontekst. Wszak piłka nożna finansowana jest u nas ze społecznych pieniędzy i zarówno moknący na stadionie kibice, jak i kibice przed telewizorami mają prawo wiedzieć, z jakim rezultatem te pieniądze są wydawane. A rezultatem był oplakany Na boisku widać było brak kondycji i pomysłowości w grze, a przede wszystkim brak podstawowych umiejętności piłkarskich u naszych zawodników. Pytanie: Za co my płacimy? — było więc uzasadnione. Skoro zostało postawione publicznie, wypadłoby, żeby ludzie odpowiedzialni za poziom polskiej piłki nożnej publicznie na nie odpowiedzieli.

Druga przegrana z Czechosłowacją praktycznie eliminuje nas z udziału w olimpijskich finałach. W najnowszej historii olimpijskiej piłki nożnej jest to wypadek dość rzadki, żeby drużyna, która na poprzednich dwu olimpiadach zdobyła złoty i srebrny medal, w tak prosty sposób dała się wyeliminować wcale nie najsilniejszemu przeciwnikowi. Polskiego Związku Piłki Nożnej w żadnym wypadku nie może usprawiedliwiać fakt, że drużynę olimpijską zaczęto przygotowywać bardzo późno. Na taką politykę nie może sobie pozwolić związek, którego reprezentacyjne drużyny bronią wysokich ostatnich pozycji w światowej piłce. Zastanawiać powinien fakt, że selekcjonerzy PZPN nie potrafili, z ogromnej przecież liczby piłkarzy w kraju, wybrać w końcu 32 zawodników, reprezentujących przyzwoitą formę i umiejętności.

Nasi obecni przeciwnicy w grupie olimpijskiej, drużyna węgierska, przez wiele lat potrafili utrzymać się w olimpijskiej czołówce Węgry zdobyli złoty medal na olimpiadzie w 1952 roku, i choć w cztery lata później nie brali udziału w turnieju olimpijskim z przyczyn od nich niezależnych, to już w 1960 roku zdobyli brąz i przez następne trzy olimpiady dwa razy byli złotymi medalistami, a raz srebrnymi. Przez długi czas w czołówce olimpijskiej utrzymywała się drużyna Jugosławii. W 1948, 1952 i 1956 roku Jugosłowianie zdobyli srebrne medale, a w 1960 roku — złoty. Utrzymywanie przez kilkanaście lat wysokiej pozycji dobrze świadczy o poziomie piłki nożnej i polityce piłkarskich działaczy w danym kraju. Czego, niestety, nie da się powiedzieć o poziomie piłki nożnej u nas.

Nasi piłkarze wypadli również z mistrzostw Europy. Wielu kibiców fascynuje się remisem i czuje niemal wdzięczność dla reprezentantów, że z Holendrami zegrali dobrze, że nie skompromitowali nas w oczach światowej opinii piłkarskiej. Mała to w końcu pociecha, bo zachycając się remisem z Holendrami nie można przecież zapomnieć o kiepskich meczach z naszymi zespołami z NRD i Islandią. W tym wszystkim zadziwiająca jest postawa naszej drużyny, którą zaprezentował kapitan, Antoni Szymanowski, w telewizyjnej rozmowie. Oświadczył m.in., że atmosfera w zespole jest dobra, drużyna jest dobra, liga jest dobra i nie ma na co wybrzdęcać. Teraz serwuje się kibicom nowy mit. Nasi piłkarze zapewniają, że w eliminacjach do mistrzostw świata dadzą z siebie wszystko. Tylko kto się da na to nabrać?

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Dobrze jest na ogół, kiedy o nas piszą. O nas — to znaczy o Łodzi. Pewnie, że piszą różnie, nie wszystkim nie wszystko się podoba i bardzo dobrze, bo to nas zmusza do myślenia, jeśli nawet o opinie ludzi są dla miasta nieśprawdliwe. Można z tym polemizować, można machnąć na to ręką jak kto woli i co uważa za celowe. Zdarzają się jednak opinie, które nie mają nic wspólnego ani z faktami, ani z różnicą zdań na tych faktach opartej, gdyż wynikają w ogóle z braku faktów, nieporozumień, niezrozumień i ignorancji. Coś takiego zaprezentowała ostatnio Krystyna Lubelska na łamach „Życia Warszawy” (18 października 1979 roku).

Wiem doskonale, że na temat Łodzi funkcjonuje w społecznej świadomości ileś tam stereotypów, które powstały przed wiekami i nieco później i nie ma żadnej siły tego zmienić, choć Łódź od tego czasu stała się innym miastem. Na przykład łódzkie kominowy. Zawsze wydawało mi się, że Łódź nazywano „miastem stu kominów” albo „Kominogrodem”, ale Krystyna Lubelska doszła do wniosku, że było ich tysiąc. Drobiazg. Fakt, że w Łodzi zlikwidowano 200 lokalnych kotłowni wcale nie znaczy, że zlikwidowano tyleż kominów fabrycznych. Musiałoby ich pozostać jeszcze 800, a tymczasem Andrzej Wajda realizując „Ziemię obiecana” łódzkiego krajoznawcy musiał szukać na... Śląsku. Nie będę się jednak sprzeczał o ilość fabrycznych kominów. Chodzi mi po prostu o wiedzę o mieście, o którym się chce pisać, o zrozumienie złożoności dokonujących się tu procesów, o znajomość podstawowych faktów.

Nikt nie będzie zaprzeczał, że łódzkie powietrze nie należy do najszybszych. Nikt też nie przeczy, że „Chemitex — Anilana” wytwarza przy okazji swojej produkcji dwusiarceńki węgla i siarkowodor. To sroawa znana w Łodzi od wielu lat. Ale proszę sobie wyobrazić,

że ktoś pisze w warszawskiej gazecie, że od 1980 roku zamknięte się fabrykę im. Marcina Kasprzaka, Róży Luksemburg, albo Karola Świerczewskiego. Jakż się popłoch padby na warszawskich robotników i ich rodziny. A tak właśnie napisała niefrasobliwie Krystyna Lubelska, nie mając kompletnie pojęcia, że „Chemitex — Anilana” to fabryka, w ramach której pracuje kilka wytwórni, a owe brzydkie gazy wyrzuca w powietrze wytwórnia włókien celulozowych. Uchwała Rady Ministrów z 1972 roku postanawia, że wytwórnia ta będzie pracowała tylko do końca 1980 roku, ale nie cała fabryka „Chemitex — Anilana”, jak chce tego

SIŁA STEREOTYPU

Krystyna Lubelska, pisząc: „Zakłady te w 1980 roku mają być jednak zlikwidowane”.

O Łodzi mówiło się „brzydkie miasto”, „złe miasto”, „wielka wieś” i jeszcze inaczej, o czym można przeczytać w wielu książkach o Łodzi. Znalazł je można w każdej poważniejszej bibliotece, nie tylko w Łodzi. Z tych książek Krystyna Lubelska dowiedziała się przy okazji, że Łódź wprawdzie była miastem zaniedbanym, żywiłowo rozwijającym się, gdzie z niebysową wyrazistością ujawniały się wlicze prawa kapitalizmu, ale nie było to siedlisko kompletnej ciemnoty. Gdyby Krystyna Lubelska te książki przeczytała, to nigdy by nie napisała czegoś podobnego, co zacytuje:

„Tuż przed wojną nie było w Łodzi gazu, nie było wodociągów, a elektryczność miały tylko niektóre domy”.

Przed którą wojną, droga pani? Wojen, jak wiemy było kilka, w tym dwie światowe. O którą więc chodzi? Bo nawet z pierwszą nie wszystko jest w porządku, jako, że gazownię w Łodzi uruchomiono w 1869 roku, elektrownię w 1888 roku, tramwaje ruszyły w Łodzi w 1898 roku, (kiedy jeszcze po Warszawie jeździły tylko tramwaje konne), a elektryczne oświetlenie założono w Łodzi w 1908 roku. To wszystko zdarzyło się przed pierwszą wojną światową.

Przed drugą natomiast — jak podają statystyki z roku 1931, więc do wybuchu wojny brakuje jeszcze 8 lat — w Łodzi 67,1 proc. budynków miało oświetlenie elektryczne, 14,7 proc. — kanalizację, 10,8 proc. — instalację gazową, 6,9 proc. — wodociąg. Było tego niewiele, to prawda. Jeszcze dziś miasto odczuwa skutki tamtego stanu rzeczy. Ale żeby zrozumieć, dlaczego tak było, trzeba choć trochę znać historię miasta. Niestety!

Jeśli bowiem nie zna się tej historii, jeśli nie rozumie się procesów i zjawisk, jakie tu w Łodzi zachodziły w ciągu ostatniego półtora wieku, to wtedy ulega się stereotypom, utrwała się nieporozumienia i błędne wyobrażenia, jak choćby to, że Łódź, to „miasto włókiennicze”, a właściwie włókienniczy, a w strukturze zatrudnienia w Łodzi też zachodzą pewne zmiany i dzisiejsze włókiennictwo nie wiele już ma wspólnego z tym z czasów Władysława Reyonta. Pewnie, że jeszcze trochę stało tu i ówdzie można znaleźć, nie tylko w Muzeum Włókiennictwa, ale nie one kształtują obraz Łodzi włókienniczej.

Cóż jednak z tego, że wszyscy chwalą „łódzkie przemiany”, kiedy im się nadal wydaje, że „na Piotrkowskiej koncentruje się życie miasta”, jak za dawnych lat, jak w skostniałym wyobrażeniu o „łym mieście”. Niestety!

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Pisanie felletonów na temat błędów, potworków i bzdur językowych, to zupełna latwizna i najmniejsza linia odporu. Mimo to muszę przynajmniej raz użyć sobie trochę zdecydowanym protestem (który, jak wszystkie felletony, niczego nigdzie nie zmienia) przeciwko pewnej formie, nagnannie używanej, a szpetnej, rażącej swą absolutną bezzasadnością, a pleniącej się już nawet w radiu i telewizji, nawet na sympozjach mężów wielce uczonych, także — o horror! — w środowisku piszącym, wśród tych, którzy powinni być fachowcami od polszczyzny.

Chodzi mianowicie o czas teraźniejszy od czasownika „łączyć” wzbogaconego przedimkiem: „wylączyć”, „przelaćczyć”, „zalaćczyć” itd. Czuję wręcz obsesyjną dreszcz, lupnięcie w czołkę, strzyknięcie w mózgu, ilekroć słyszę: „wylanczam”, „nie wylanczam się”, „zalannczam”, „przelanczam” i „odlannczam”. Zobaczenie te słowa na piśmie: czy nie wyglądają potworkowato? Prze-

cież nigdzie w druku takiej formy nie spotkacie. Skąd więc bierze się w mowie ta nosowo eksponowana głoska „an”, nie istniejąca w naszym języku?

Gdy raz wdalem się w dyskusję na ten temat, powiolen inteligentny pan usiło-

NIE WTRANCAJ SIĘ!

wał dowodzić poprawności swojego „wylanczam”. Ze niby „wylączać”, to czas teraźniejszy prosty, a „wylanczam”, to forma częstotliwa, analogicznie do „czytam” i „czytuję”. Czyli, że „wylanczam” to znaczy „wylączać wiele razy”. Ale to nieprawda. „Nie wylanczam się” mówi rozmówca w telefonie, mając na myśli jednorazowe przerwanie połączenia (a nie „polanczanie”). A jeśli ktoś na siłę zechce usprawiedliwić owo wredne „an”, to niech kon-

sekwentnie mówi: „nie wtranczaj się”, „nie wtranczaj mnie z równowagi”, „zacznczaj planszą” (zamiast planszą), „kansać” (zamiast kasać) i „przekansać” (zamiast przekasać). Jeżeli Was te przykłady śmieszą, to krok ku uzdrowieniu zrobiony: mo-

że zwrócić uwagę także na Wasze łączenie i przestaniecie lancyć. Czy nie podoba się Wam poprawna, konsekwentna, do niedawna dla wszystkich oczywista forma: „przelanczam”, „wylanczam”? Czy jest w niej coś, co Wam każe robić wygibas w stronę ewidentnego językowego błędu?

Trochę rzadziej, ale o wiele za często, słyszę też fatalną formę „zrucac”, zamiast „zrucac”. Dlaczego nikt nie powie „wrucać”, zamiast

Załącznik nr.

491.../79

HASŁO NUMERU: Oszczędzaj pończochy — nie chowaj w nich pieniędzy!

MROZEK ZAPROSZONY

Red. SŁ z „Dziennika Popularnego” nie zrobił wywiadu ze Sławomirem Mrozkim, ponieważ nie został powiadomiony, że Mrozek przyjedzie na przedstawienie „Vatlava”. W związku z tym red. SŁ zaprosił ob. Sławomira Mrozkę, przy okazji jego ewentualnej następnej bytności, na śledzika do „Fraski”. Pogadamy inaczej! — zakończył red. SŁ.

LATAJĄCE JEZE

Z „Ogłosów” (to ten tygodnik

złączony do nas), dowiedzieliśmy się, że „języki odleciały z okna balkonu Konstantego Maciejewicza”.

Ciekawostka przyrodnicza. Dotychczas, jak wiedzieliśmy, do okna Mistrza przylatywały ptaki-języki. Teraz, jak się okazuje, także małe jeże. Przeprowadziliśmy śledztwo. Autor ich tam nie wsadził.

WYPADŁ Z BUTÓW

Sylwester W. z PTHW w Łodzi, wypłszy około 670 g wód-

związka na zakrętach, więc w Piotrkowie Trybunalskim „Star” przekozłokował. W trakcie kozłokowania Sylwester W. wypadł nie tylko z kabiny, ale i z butów.

Jak donosi „Dziennik Popularny”, milicja szybko wpadła na trop sprawcy kradzieży, tyle że były trudności z jego odnalezieniem. Sylwester W. wrócił do Łodzi pieszo, bosy, bocnymi drogami. Zajęło mu to dwa dni.

SKUTKI PALENIA

„Nadwozie Flata 123 p po spaleniu — sprzedam...” — ogłosił w „Głosie Robotniczym” zdesperowany właściciel.

Kupiliśmy, ale — przed.

KRONIKA TOWARZYSKA

ZRÓB TO SAM

Z różnych stron kraju napływają wiadomości o braku dzienników lekcyjnych dla szkół. Nauczycielom radzi się, aby dzienniki takie robili sami. Takiej rady za pośrednictwem „Expressu” Poznańskiego nauczycielom przedstawiciel Departamentu Inwestycji i Pomocy Szkolnych Ministerstwa Oświaty. Powiedział oni: „nie nie stoi na przeszkodzie, żeby nauczyciele, ewentualnie przy pomocy uczniów, sporządzali je samodzielnie”.

Korzystając z tej świetnej rady nauczyciele będą już w niedługim czasie sami, „ewentualnie przy pomocy uczniów” sporządzali kredo do pisania na tablicy, robili gablki do jej ścierania z tablicy, produkowali cyrkle, linie, a nawet mogą dojść do tego, że będą również przepisywali podręczniki. I bardzo dobrze. Przy okazji bowiem nauczyciele i uczniowie zdobędą pożyteczne zawody, rozwinię się rekordy, a ludzie mniej będą zajmowali się różnymi tam wymyślnymi różnymi uczonych. Bo i po co komu to potrzebne? ZYG.

RADOŚĆ

Z wielką radością „Głos Robotniczy” donosił że do Łodzi przybyło 15 wagonów z proszkiem „E”. Wnikliwemu reporterowi „GR” donosimy zupełnie darmo, że codziennie do Łodzi przybywa wiele wagonów z różnymi towarami. Powodów do radości może więc być więcej. D. O. Nosticel

PLOTKI

Jest tak zarozumiały, że w dniu swych urodzin wysłał do rodziców depeszę z gratulacjami.

Nic dziwnego, że Mona Lisa cieszy się taką popularnością a Amerykanów. Jest to jedyna rzecz we Francji, która się do nich uśmiecha.

Postanowiła nie mieć więcej dzieci niż czworo, ponieważ przeczytała, że co piąty noworodek to Chinczyk.

W rubryce sex (pleć) napisała: od czasu do czasu.

Dyrektor: — Z pana to byłoby wspaniałe przestępca.

Urzędnik: — Jak to?

Dyrektor: — Bo nie widac śladów pańskiej działalności.

Szef powiedział, iż z przyjemnością zapłaci jej 100 dolarów tygodniowo, ale ona powiedziała, że z przyjemnością to ona żąda 150 dolarów.



TRAFIŁ DO NASZYCH RAK RACHUNEK

nr 2567 wystawiony przez Miejskie Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych w Łodzi, sklen nr 4. Wynika z niego, że umieranie, które zawsze było kosztowne, jeszcze podrożało, zwłaszcza dla rodziny nieboszczyka. Okazuje się, że „Zezwolenie na wwiezienie na cmentarz” kamienia nagrobnego wyceniono na zł 300 (słownie: trzysta, „zatwierdzenie”

MEMENTO MORI

tegoż zezwolenia obciąża rodzinę nieboszczyka zł 50 (słownie: pięćdziesiąt), zaś „zatwierdzenie tegoż zezwolenia” w MPUK kosztuje zł 30 (słownie: trzydzieści). W świetle tego rachunku bardzo nas interesuje, ile kosztuje zatwierdzenie kierownika sklepu MPUK na jego stanowisku i czy koszty te obciążają Pana Boga, nieboszczyka czy też pograżonych w żalobie krewnych zmarłego.

K.F.

KOPERTY

Kierowcy i przemocnie zauważyli już zapewne, że w niektórych miejscach na jezdni ulicy Piotrkowskiej wymalowana biała farba prostokąty przekreślone dwoma ukosnymi liniami, przypominające koperty. Na takiej kopercie może parkować tylko samochód dostarczający towar do sklepu. Innym nie wolno nawet zatrzymać się tam.

Jest to pomysł właściciela sklepu na ulicy Piotrkowskiej, który nie będzie można po tej ulicy jeździć samochodami. Za sklepami z ulicy Piotrkowskiej pójdą inni. I słusznie. Najlepiej byłoby w ogóle zakazać samochodom jeżdżenia po ulicach

miasta Łodzi. Niech sobie jeżdżą po szosach po pólnych drogach. W mieście będzie powietrze lepsze i mniej kłopotu. Ludzie dawniej jeździli konno i chodzili pieszo i byli zdrowi. Marwi nas tylko problem, kto będzie z łódzkich ulic sprzątał koński nawóz, kiedy wrócimy do tej formy komunikacji? Dojsz do tego bowiem musi, jeśli pomysło-wość władz komunikacyjnych miasta będzie się nadal rozwijała w tym kierunku i takim tempie. Zamiast bowiem upraszać komunikację samochodową w mieście, robi się wszystko, aby ją komplikować narogromadzeniem zakazów i nakazów.

Powodzenia! Zyg. Zyg.

NOWY TEATR W ŁODZI!

(Od naszego korespondenta w CSRS)

O istnieniu jakiegóż nie znanego nam jeszcze łódzkiego teatru dowiedzieliśmy się ostatnio z pewnej książki o... CSRS. Teatr ten powstała do życia (i ochrzciła) p. Danuta Dunin-Wasowicz, autorka części poświęconej kulturze w wydanej niedawno przez KAW w serii „U przy-” książce pt. „CSRS”. Na stronie setnej tejże przeczytaliśmy bowiem, iż stałym współpracownikiem jednego z praskich teatrów jest teatr... Dramatyczny w Łodzi.

Mielimy nadzieję, że w następnym wydaniu autorka usunie dużą literę z nazwy i spręczy, o który z łódzkich teatrów dramatycznych jej chodzi. Ze swej strony możemy podpowieścić, że od wielu lat dające się przyjąć współpraca praskiego Teatru im. S. K. Neumanna z łódzkim Teatrem Powszechnym. Na ostatni owoc tej współpracy — „Słowo muzkieterackie” zapraszamy do Łodzi — w imieniu Teatru — Może pomoże.

WIADOMOŚCI Z DALEKA I BLISKA

WIADOMOŚCI Z DALEKA I BLISKA

Bury miś

ZAKOPANE. Każdej nocy do schroniska na Hali Kondratowej przychodzi duży, bury miś i straszy mieszkańców. Niedługo chce dostać się do omisszeń z żywnością. Jest wszakże pod ochroną i nie można mu zrobić. Przegnać się nie daje. Polują nań fotoreporterzy, a pracownicy Narodowego Parku Tatrzńskiego odbywają wielogodzinne narady nad tym, jak orzecznicę misia.

Stary górale twierdzą na podstawie wizyty misia, że tegoroczna zima przyjdzie późno, ale będzie surowa. Prognozę tę dedykujemy sportowcom.

Oferty

ŁÓDZ. Zapobiegliwym i przewidu-

Własciwa pora

PABIANICE. „Zycie Pabianic” poinformowało mieszkańców, że nastąpiły kolizje gazociągu z ciepłociągami i właśnie teraz pracownicy Mazowieckich Zakładów Gazownictwa usuwają te kolizje w związku z czym występują „spadki napięcia gazu”, ale są one „zjawiskiem przejściowym”. Występuje to zjawisko przejściowe — jak donosi „ZP” — „Głównie w godzinach 8-13, kiedy to odbiorcy korzystają z kuchenek gazowych w ograniczonym stopniu”.

W Pabianicach bowiem obłądy gotuje się w nocy.

SZPERACZ

Partacze

CHELM. Do banku spółdzielczego w Łopienku wiamali się złodzieje. Bank pieniędzy przechowuje w sejfie tytu „Skarbiec”. Złodziejom nie udało się otworzyć sejfu, mimo że użył palnika acetylenowego. Gdzieś są ci dawni „dentelment

TO JEST MISTER?



Tak wygląda, ogłoszony przed rokiem Misterem Łodzi przez „Express Ilustrowany” i SARP, dom przy ul. Rzgowskiej. Tak wyglądał ten dom również wtedy, kiedy ogłaszano go Misterem. Jest nadzieja, że niedługo cały tynk odpadnie i nagrodzony budynek będzie można pokazywać zewnętrznego.

Foto: L. Włodkowski

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

KACZA ZUPA

Część czwarta. Jutro będzie lepiej

Przed domem na laweczce czekał na nas gajowy. Kiedy zbliżyliśmy się do niego z widocznym zdziwieniem popatrzył na puste troki przywieszzone do pustego pasa amunicyjnego. Weszliśmy do mieszkania. Na stole dymia miszka z pachnącą boczkiem jajecznicą. Na kuchni parował czajnik z gorącą kawą. Zasiadaliśmy do śniadania.

— I jak tam? — zagadnął jakby od niechcenia gajowy Marucha — dużo strzelaliście.

— Kaczek był — odpowiedział strażnik Marucha — tylko, że strasznie twardy. Jak z blachy.

— A może w tym roku poległy się głuche? — wtrącił gajowy.

— Czy ja wiem — kontynuował strażnik — Pan myśliwy strzelał chyba z pięćdziesiąt razy. Za każdym razem trafnie, a te diabły leciały dalej. Jeszcze nigdy nie widział tyłu latających trupów — na twarzy nie drgnął mu jednak ani jeden mięsień.

Ja ze wzrokiem wbitym w talarz z jajecznicą udawałem, że nie słyszę rozmowy.

— Taaka sprawa — powiedział po chwili zamyślenia gajowy Marucha — a pomyśleć, liczyłem na to, że na śniadanie będzie kacza zupa...

— Kacza zupa? — dodał jakby do siebie strażnik łowiecki.

— A może strzelba pana myśliwego miękko bije? — zaniepokoił się po chwili milczenia gajowy.

— A i gdzie tam — obruszył się strażnik — po każdym strzale szuwało w prawie z korzeniami wyrwało. Pokarałby mnie Pan Bóg taką strzelbą...

— A i za coś miałby karać — zdziwił się gajowy.

— Ale się panowie rozgadali — nie wytrzymałem wreszcie.

— Może to i racja — zaśmiał

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

KACZA ZUPA

Część czwarta. Jutro będzie lepiej

się gajowy Marucha — w ubiegłym roku był tutaj dyrektor wielkiego kombinatu, to zanim oddał pierwszy strzał już wpadł do wody i trzeba go było ratować. Pan myśliwy to chociaż sobie postrzelał.

— A pamiętasz jak przyjechał magister z elegancką blondynką? — dodał strażnik.

Brać wyraźnie się rozbawili. Kiedy ich zobaczyłem po raz pierwszy nie przypuszczałem nawet, że potrafił być tak weseli i rozmowni. Śniadanie upłynęło w bardzo sympatycznej atmosferze.

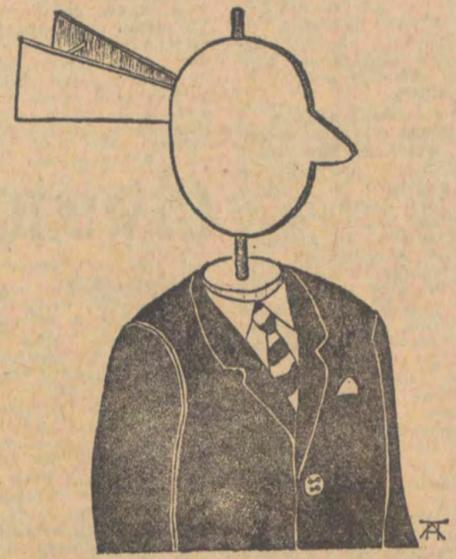
— Jutro rano o trzeciej pobudka i jedziemy na łowy — powiedział strażnik — z pewnością będzie lepiej.

— Ale już żadnego alkoholu... — zastrzegłem się.

— Niestety, pan myśliwy wczoraj wszyscy wypili — odparł gajowy — a do miasta daleko.

Zrobiło mi się lekko na duszy. Urlopu miałem pełne dwa tygodnie, a przecież nikt nie rozdzielił się marszałkiem. Jutro będzie na śniadanie kacza zupa.

KONIEC



Rys. Andrzej Adamowicz

W sobotę, 20 października, „Załącznik” bawił w Filharmonii. Nie można jednak powiedzieć, by ubawił się, chociaż nastrój panuje tu dość niefrasobliwy... Odnosi się wrażenie, że niektórym członkom mocno odmłodzonej ostatnio orkiestry przydałaby się w d.c. opieka pedagoga. Myślimy tu o wychowawcy, który panom fagocistom i trombaczom wpoliłby parę podstawowych zasad tzw. dobrego wychowania.

Nie jesteśmy — gwoli wyjaśnienia — za tym, by w dostojnym przybytku Polihymni nastrój panował sztywny jak w grobowcu. Sami na ogół nie wkładamy krawata (choć zawsze — garnitur). Jak jednak mamy rozumieć te popisy nonszalan- cji i manifestacje „luzu” płynące wraz z muzyką z estrady? Czy skądinąd świętyni pan. fagocista musi w trakcie koncertu wymieniać uwagi ze swoim kolegą takim glosem, że docierają one do dzwiałego rzędu? Akustyka w PPF jest fatalna, ale nawet szept zda się rykiem, gdy orkiestra gra

FILHARMONIA I MANIERY

właśnie piano... Dalej, czy ostatni rząd w orkiestrze, a pierwszy licząc od góry, umówił się nie mały, by „robić” za „łoz” syderców”, która skupia się na grze tylko wówczas, gdy sama gra...? Co mają znaczyć (dla postronnego) te pełne ironii uśmiechy i półgłosne komentarze wymieniane na oczach dyrygenta i widowni, gdy kolega z innej grupy instrumentów skończy „pół-ławkę”? Te porozumiewawcze spojrzenia, w których daremnie byś odczytywał uznanie, te grymasy, słówka jak na próbie, uśmiešky, to wiercenie się i chowanie roześmianych twarzy pod pulpity, a potem szukanie błędnym wzrokiem w nitach miejsca „gdzie jesteśmy” i głośnie radzenie się kolegów... — po co, dla kogo cały ten „teatr”? Czy panowie muzycy nie chcieliby zobaczyć jak to fatalnie wygląda z widowni, jak rozprząsa słuchaczy, psuje nastrój? Obawiamy się, że nie mieli dotąd takiej okazji, i że — co więcej — tego żalosnego widoku nie miał okazji oglądać również Szanowna Dyrekcja... A szkoda, bo jest na co popatrzeć.

S. (uchacz)

Po meczu HOLANDIA-POLSKA

PRZEMIJANIE
Mijają lata
I Lato już nie lata.

J. D.